tygodnik społeczno-kulturalny

Łódź odgłosy

NR 30 (1129) ROK XXII 29 LIPCA 1979 R. CENA 3 zł

NAD ZALEWEM PRAWO NIE OBOWIĄZUJE?

„— Popłucz Maniuś żołądek wódką, to lepsze od lekarstwa.

I pan Maniuś przepłukał. I zagryzł".

(Eugeniusz Iwanicki)

TAJNA ARMIA WINSTONA CHURCHILLA

„...Whisky lała się strumieniami. W mieszkaniu Winstona Churchilla, który tego dnia obchodził 80-tą rocznicę urodzin — był listopad 1954 roku — goście wznosili huczne toasty".

(Jerzy Czech)

SPOWIEDŹ WIKTORII

„Matka od miesiąca leżała w łóżku. Była bardzo słaba. Wyschła jak wiór. Tego dnia powiedziała, że chce zobaczyć świat."

(Tadeusz Papier)

NA BŁĘDNYCH SZLAKACH KOSMITÓW

„Majowie mieli świetnie rozwinięte obserwacje astronomiczne, wykonywane jednak tylko okiem nie uzbrojonym przy pomocy lunet."

(Stefan Kowal)

POZA TYM:

Kolejny odcinek powieści Wł. Rymkiewicza „FATAMORGANA"

Bogda Madej o Jadwidze Wajsównie

Jerzy Rzymowski o Tadeuszu Papierze

Polemika Tadeusza Szczepańskiego z Jerzym Płażewskim

Andrzej F. Grabski o książce Wiesława Pusza „Nowy Parnas..."

Felietony i „Załącznik"

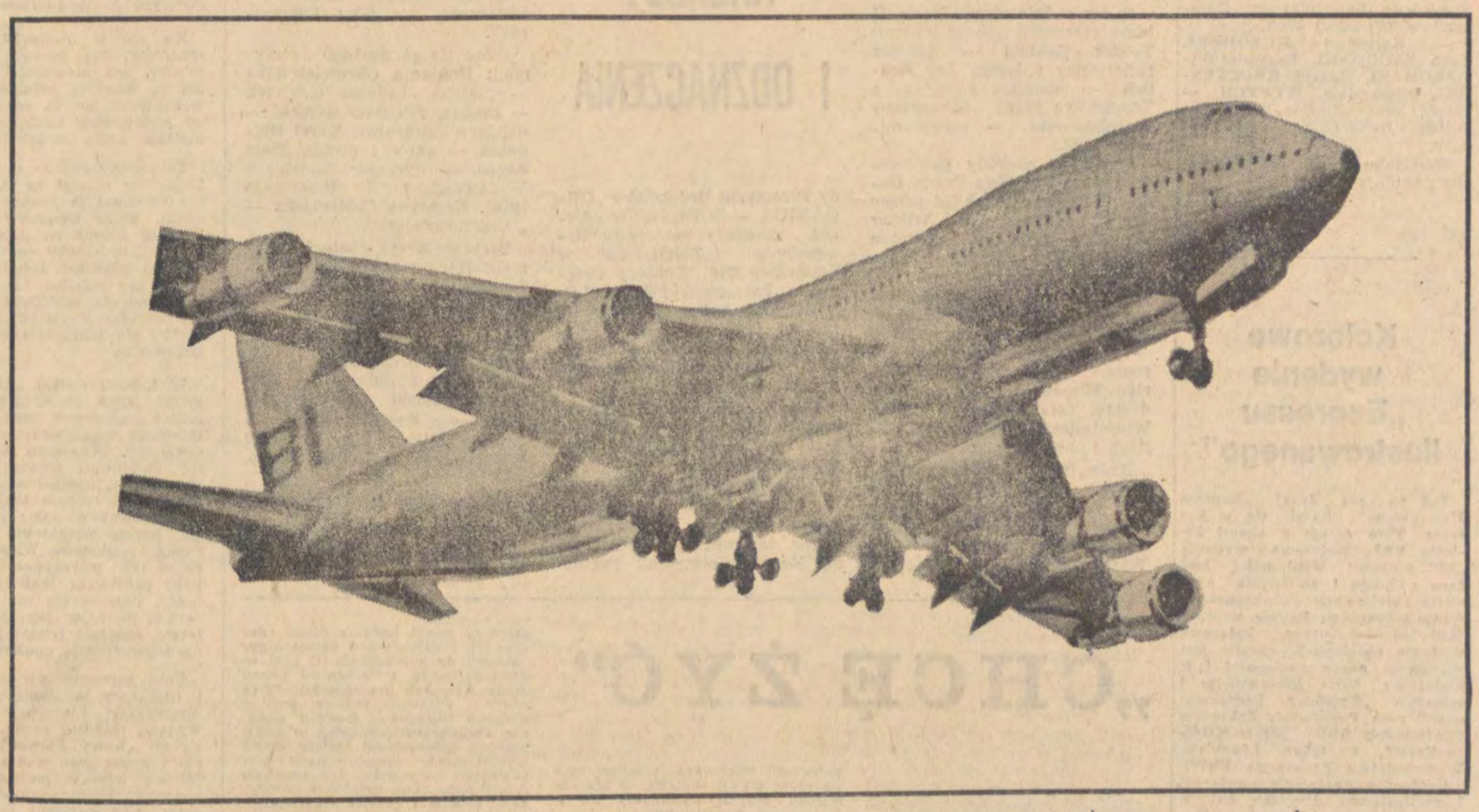

Co najmniej półtorej godziny krócej trwa lot z Warszawy do Nowego Jorku niż podróż pociągiem z Łodzi do Szczecina. Codziennie z Okęcia startują dwa samoloty „Il-62" lub „Tu-134A" Polskich Linii Lotniczych „Lot" oraz godzinę później „B-727" należący do „Pan Am". Cena biletu w złotówkach na obu liniach jest identyczna, można więc wybrać czy chce się lecieć polskim samolotem, który po drodze będzie lądował w Irlandii dla uzupełnienia zapasu paliwa, czy pod flagą amerykańską, ale z przesiadką we Frankfurcie nad Menem na „Jumbo Jeta".

KONRAD TUROWSKI

„JUMBO JETEM" Z MISTER KOWALCZYKIEM

Wątpliwości rozstrzygnęła panienka

„Lot" częściej ma komplety pasażerów. Wprawdzie „Pan Am" nęci trzema kinami, możliwością słuchania muzyki i większym komfortem na pokładzie swego samolotu to jednak polskich klientów zdaje się odstraszać obawa przed trudnościami w porozumieniu się z anglojęzyczną obsługą i kłopotami związanymi z przesiadką.

— Jeśli chce pan jutro lecieć do Nowego Jorku to tylko „Pan Amem", bo „Lot" ma już na cztery najbliższe dni wszystkie miejsca zajęte — rozstrzygnęła uprzejma panienka w kasie linii lotniczych w warszawskim Hotelu „Victoria". Dowiedziałem się też, że krewni oczekujący mego przylotu na lotnisku Kennedy'ego nie będą mogli się upewnić czy rzeczywiście lecę „Jumbo Jetem". „Pan Am" bowiem nie ujawnia listy swoich pasażerów. Ze względów bezpieczeństwa.

Wnętrze „B-727" trudno nazwać eleganckim. Sprawia wrażenie wysłużonej taksówki, z wytartymi podgłówkami i pokrowcami nie pierwszej świeżości. Miejsca za to dość,

Dalszy ciąg na str. 6

Do starego drewnianego domu z dwuspadowym dachem i wysuniętym pięterkiem, stojącego wysoko na górce, tuż przy drodze zbiegającej do mostu na jeziorze, przyjechały córki z dziećmi i mężami, bo dziś Antoniego, a oni wszyscy bardzo ojca, dziadka i teścia zarazem, kochają i szanują. Zięciowie jeszcze bardziej kochają teściową i twierdzą, że pewnie by się porozwodzili, ale ze względu na teściową nie mogą, serce pęka ze wzruszenia, taka dobra kobieta, żaden dowcip o teściowej do niej nie pasuje.

RYSZARD BINKOWSKI

PRZY RODZINNYM STOLE

Jest wódeczka na miodzie, kawa, koniak w pucharkach i znakomity sękacz, tajemnicę wypieku przywieziono na Suwalszczyznę z dalekich, wschodnich białostockich rubieży. Wesoło, uroczyście, a żeby było jeszcze dostojniej, zięć mnie z miejsca legitymuje, „bo to, panie, różni ludzie się kręcą", a ja, wie pan, „też jestem tego", i pokazuje legitymację, z której dla przyzwoitości przeczytałem tylko nazwisko. Teraz już się znamy, jedna z córek, księgowa, zapisuje moje nazwisko i tytuły książek, które muszę bez zająknienia wymienić, i jesteśmy już sami swoi.

— Ona musi zaksięgować, taki nawyk życiowy u niej. I prawidłowo!

Lecz toast pod Antoniego, wymawiam się nieprzystojnie, bo po pijanemu zapominam, co do mnie mówią, ale teściowa, lat 62, żywotna, z pełną, zdrową twarzą, tylko trochę słabuje na nogi od pracy na betonie i dźwigania wody z jeziora, nie ustępuje i wbijając we mnie filuterne spojrzenie małych szarych oczu oświadcza twardo, że nie zna takiego chłopa, co by w życiu nie wypił. Wtedy ja oznajmiam z rozpaczą, że jestem cholerny, niepoprawny nałogowiec i na dowód mogę się rozebrać przy stole i pokazać zaszytą minę. Ustępują przed takim argumentem, chociaż „wszywki" nie miałem, ale Jaroszewiczowa wybaczy, bo morowa kobieta.

Solenizant, ANTONI JAROSZEWICZ, ma 70 lat, drobną rumianą twarz, szaroniebieskie oczy i resztki białych włosów na płaskiej czaszce, tyfus tak go urządził. Jedna córka mieszka w Kieleckiem, nie dojechała, a trzy pozostałe to dorodne kobiety, eleganckie, zadbane, z makijażem i fryzurami jak trzeba, z manierami miejskimi, wykształcone, ale kresowo, po wiejsku, serdeczne i spontaniczne. Jedna w drugą miłe i, co tu dużo gadać, urodne i podobne do siebie, kiedy więc pomylę, co która mówi, także będzie mi wybaczone.

Drugi toast, imieniny, zjazd rodzinny, okazja do wspomnień. Przede wszystkim, dlaczego przybyli na Suwalszczyznę. Ano, wojna. Wszystkiemu winna wojna.

— Powiedz, tata, jakeś Niemców zrobił w konia z tym koniem!

— Albo jakżeśmy się cudem połączyli, gdy nas wypędzali ze wsi.

— Na to zawsze czas — oświadcza Antoni. *— Wy się najpierw przedstawcie, czy mogę być z was dumny. Bo jak mnie się, panie, cztery córki sypnęli, to we wsi zakrakali: zginął nasz Antoni, na dziady pójdzie.*

Irena, najwyższa, długowłosa blondynka, przedstawia nieobecną Helenę. Helena ukończyła liceum pedagogiczne i 22 lata pracuje w Kieleckiem. Nie stojąc w miejscu, do wiedzy się garnąca, zrobiła studia magisterskie. Mąż jest jej zwierzchnikiem, dyrektorem, piękną szkołę postawił. Ma dwie córki, jedna studiuje chemię, druga jeszcze uczennica i dobra sportsmenka, w gazetach już o niej pisali.

Irena ukończyła studium nauczycielskie (fizykę) i teraz kończy zaocznie chemię na Uniwersytecie Gdańskim. Podobnie jak wszystkie siostry ma dwoje dzieci, córka zdała maturę, syn „wykańcza", jak mówi żartobliwie, samochodówkę, ale specjalnie mu się nie chce. Zapuścił wąsik i gra na podwórku u dziadka w badmintona, bo z wąsikiem jest podobny do Fibaka i do tenisa też się kiedyś weźmie.

Wanda jest niższa, taka sama jak Danka, tylko włosy ma jasne, wpadające w kasztan, a Danka czarniutka.

— Ukończyłam studium nauczycielskie w Olsztynie, obecnie jestem dyrektorem szkoły w Drozdowie, gmina Orzysz. Kiedy popatrzyłam, ile wyrzeczeń kosztuje zrobienie studiów magisterskich Irkę i Helę, ręce

Dalszy ciąg na str. 4

1.

— Wie pani, jak się jedzie na Bełchatów? No właśnie. Dojedzie pani do skrzyżowania ze światłami. Po prawej stronie za skrzyżowaniem będzie cmentarz. Po lewej, przed skrzyżowaniem taki mały mosteczek. Tuż przed mosteczkiem dom w ogrodzie. Właśnie w tym domu mieszkam. Łatwo pani znajdzie.

BEZ ODPOCZYNKU

CZYTAJ NA STR. 3

Nagrody województwa sieradzkiego

Wojewódzka Rada Narodowa w Sieradzu przyznała doroczne nagrody województwa sieradzkiego. Wśród laureatów nagród za rok 1979 znalazł się też redaktor naczelny „Odgłosów", prezes łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich pisarz i publicysta — **JERZY WAWRZAK.**

Nagrody województwa łódzkiego otrzymali również:

Kazimierz MAURER — działacz i twórca ludowy ze wsi Babice w gminie Lutomiersk,

— dr **Tadeusz WIJASZKA** — kierownik Zakładu Badań Pryszczycy w Zduńskiej Woli,

— **Zdzisław OPIECZYŃSKI, Andrzej URBANOWSKI** i **Sławomir JANKOWSKI** — zespół racjonalizatorów z Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Zwoltex" w Zduńskiej Woli,

— **Kazimierz KUROWSKI, Lech SADOWSKI, Krzysztof BĄCZKOWSKI, Henryk KROCZYŃSKI, Mieczysław WYPYCH** — zespół konstruktorów Spółdzielni Kółek Rolniczych w Zapolicach.

Wszystkim laureatom serdecznie gratulujemy!

Kolorowe wydanie „Expressu Ilustrowanego"

Już po raz drugi „Express Ilustrowany" ukazał się w kolorze. Tym razem z okazji 35-lecia PRL. Kolorowe wydanie „EI" przynosi wiadomości bieżące z kraju i ze świata oraz wiele ciekawych okolicznościowych artykułów. Drugie w dziejach łódzkiej prasy kolorowe wydanie codziennej gazety jest wynikiem pracy społecznej i inicjatywy POP, kierownictw i zespołów „Expressu Ilustrowanego" oraz Prasowych Zakładów Graficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch", a także Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW.

Serdeczne gratulacje autorom i realizatorom drugiego kolorowego wydania „Expressu Ilustrowanego!

Uwaga Czytelnicy!

W związku z przemianowaniem ulicy Głównej i ulicy Adama Mickiewicza w aleję Adama Mickiewicza zmianie uległ numer domu w którym mieści się nasza redakcja. Obecny nasz adres brzmi: ALEJA ADAMA MICKIEWICZA 11 (a nie jak uprzednio 12). Numer kodu pocztowego pozostał bez zmian.

NAGRODY I ODZNACZENIA

Z okazji obchodów 35 rocznicy Manifestu PKWN ludziom zasłużonym dla Polski Ludowej przyznano nagrody za ich pracę oraz uhonorowano ich trud wysokimi odznaczeniami.

Wśród odznaczonych **Orderem Budowniczych Polski Ludowej** są między innymi: **Kazimiera MISIEJAK** – brygadzistka w ZPB im. Sz. Harnama w Łodzi, pisarze: **Arkady FIEDLER** i **Włodzimierz SOKORSKI,** profesorowie: **Bolesław IWASZKIEWICZ, Dionizy SMOLEŃSKI** i **Marian WEISS.**

Order Sztandaru Pracy II klasy otrzymali między innymi: **Teodor Gębicki** — działacz państwowy z Łodzi, **Jan Redlich** — działacz partyjny z Tomaszowa Maz., **Mieczysław Woźniakowski** — przewodniczący TPŁ.

Specjalne nagrody państwowe z okazji 35-lecia Polski Ludowej otrzymali wybitni polscy uczeni, profesorowie: **Wiktor Dega** — ortopeda, **Felicjan Dembiński** — agrobotanik, **Janusz Groszkowski** — elektronik, **Henryk Jabłoński** — historyk, **Tadeusz Kotarbiński** — filozof, **Kazimierz Kuratowski** — matematyk, **Stanisław Lorentz** — historyk sztuki, **Marian Mięsowicz** — fizyk, **Władysław Tatarkiewicz** — filozof, **Włodzimierz Trzebiatowski** — fizyk i chemik.

Rada Państwa przyznała też wysokie odznaczenia dla zakładów pracy i instytucji. **Order Sztandaru Pracy I klasy** otrzymał między innymi Instytut Warzywnictwa w Skierniewicach. **Order Sztandaru Pracy II klasy** otrzymały między innymi: Fabryka Maszyn Górniczych „PIOMA" w Piotrkowie Tryb., Fabryka Urządzeń Odlewniczych „FUMOS" w Skierniewicach, Mazowieckie Zakłady Przemysłu Wełnianego „MAZOVIA" w Tomaszowie Maz., Zakłady Przemysłowe „KOMUNA PARYSKA" w Radomsku, Zakłady Przemysłu Barwników „ORGANICA — BORUTA" w Zgierzu, Zakłady Przemysłu Bawełnianego „ZWOLTEX" w Zduńskiej Woli, Zakłady Przemysłu Pasmanteryjnego „LENORA" w Łodzi, Zakłady Urządzeń Galwanicznych i Lakierniczych „ZUGiL" w Wieluniu, **Zespół Elektrociepłowni im. W. Lenina** w Łodzi.

Wśród odznaczonych Orderem Sztandaru Pracy II klasy jest też zespół „GŁOSU ROBOTNICZEGO".

Z okazji 35 rocznicy powstania Polski Ludowej przyznano nagrody prezesa Rady Ministrów za twórczość artystyczną. Nagrody otrzymali między innymi: pisarz z Łodzi — **Leon Gomolicki,** aktor — **Roman Kłosowski,** dyrygent — **Zygmunt Latoszewski,** artystka operowa — **Teresa Żylis-Gara.**

Odznaczenia otrzymali również łódzcy pisarze, dziennikarze, ludzie sztuki, kultury, pracownicy RSW „Prasa—Książka—Ruch", radia i telewizji.

Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał **Wojciech Drygas** — naczelny redaktor „Karuzeli", prezes łódzkiego oddziału SDP oraz **Janusz Król** — dyrektor „Ruchu" w Łodzi.

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: **Michał Walczak** — redaktor naczelny telewizji w Łodzi, **Bogusław Kucab** — dyrektor Prasowych Zakładów Graficznych, **Wiesław Machejko** — telewizja, łódzki pisarz — **Ludwik Świeżawski, Aleksander Batorowicz** — „Głos Robotniczy".

Złoty Krzyż Zasługi otrzymali: **Honorata Chróścielewska** — pisarka, **Tadeusz Kokietek** — malarz, **Zdzisław Konicki** — działacz kulturalny, **Karol Obidniak** — aktor i pisarz, **Piotr Sagan** — dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW, **Krystyna Sobierajska** — „Głos Robotniczy".

Srebrny Krzyż Zasługi otrzymali: **Honorata Chróścielewska Hampel** — „Dziennik Popularny", **Ada Jaskulska** — „Życie Pabianic", **Antoni Szram** — Muzeum Historii m. Łodzi, **Zdzisław Szczepaniak** — „Dziennik Popularny", **Zbigniew Zaliński** — telewizja.

Brązowy Krzyż Zasługi — **Urszula Mikołajczyk** i **Józef Wojcieszczyk** — Polskie Radio.

Wszystkim nagrodzonym i wyróżnionym składamy serdeczne gratulacje.

„CHCĘ ŻYĆ"

„Chcę żyć" to tytuł książki **Tadeusza Ważniewskiego** — więźnia obozu koncentracyjnego dla dzieci: Polenjugendverwahrlager der Sichercheitspolitzei in Litzmanstadt. To również tytuł dokumentalnego reportażu filmowego zrealizowanego przez OTVP — Łódź, w którym między innymi spotykamy się z **Tadeuszem Ważniewskim.**

Łódź w czasie okupacji była centrum hitlerowskiej eksterminacji dzieci polskich, radzieckich i czeskich. Odegrały tu rolę: położenie miasta na granicy Kraju Warty (Warthegau) i Generalnej Guberni, umieszczenie w Łodzi centralnych urzędów zajmujących się akcją przesiedleńczą Polaków oraz placówek hitlerowskiego Rasenamtu — urzędu do spraw wynaradawiania zniemczania ludności polskiej poprzez porywanie dzieci i oddawanie ich rodzinom niemieckim.

Na ogół znany jest już dość dobrze jeden z obozów koncentracyjnych dzieci — obóz na Przemysłowej. Obozów takich było więcej. Dzieci radzieckie z rodzin rozstrzelanych partyzantów więzione były w Konstantynowie. Na ul. Łąkowej w ciągu kilku dni umarło z wycieńczenia i chorób ponad 70 małych więźniów. Opowiadają o tym w reportażu **Teofil i Lech Turscy.**

Niewiele wiedzieliśmy dotąd o tym co działo się w klasztorze Ojców Bernardynów przy ul. Spornej 73 zamienionym przez hitlerowców w etapowy punkt badania dzieci odebranych rodzinom pod kątem przydatności do zniemczenia. O tym opowiada jeden z więźniów obozu **Jerzy Kasprzak** (na zdjęciu). Przez obozy i więzienia łódzkie, według obliczeń **Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich** w Łodzi przeszło kilkadziesiąt tysięcy dzieci wysiedlanych, aresztowanych, kierowanych na zagładę. Jak wiadomo dzieci szczególnie cygańskie, żydowskie, polskie i czeskie (przywiezione tu ze znanych Lidic) zostały skierowane do Chełmna nad Nerem, tam zagazowane i zlikwidowane. W tej chwili Komisja ma w swych rejestrach dokładne dane personalne ponad tysiąca zamordowanych dzieci. Zbrodnie te obciążają żyjących dotąd w RFN takich sprawców, jak szef łódzkiego Gestapo z lat 1941—43 Otto Bratfisch, nadburmistrz Łodzi Werner Wentzki szef łódzkiej Centrali Przesiedleńczej Herman Krumey i mieszkający obecnie w Hamburgu jeden z komendantów obozu dzieci na ul. Przemysłowej Hans Fuge. Mimo że Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce przekazała do RFN setki dokumentów w postaci przesłuchań świadków, aktów zgonu, odbitek dokumentów niemieckich świadczących bezspornie o zbrodniach na dzieciach, żadnego z wymienionych nie pociągnięto do odpowiedzialności.

Film zrealizował przy współpracy OKBZH w Łodzi **Wiesław Machejko. Zdjęcia Adam Kaczanowski,** komentarz czyta **Jerzy Rosołowski.**

NIE TYLKO HISTORIA

RZECZ O BRUNO KICIŃSKIM

Nie ma w humanistyce wygodniejszej rzeczy, jak przyjęte schematy. Wystarczy się z takim schematem zapoznać — a uczynić to można, biorąc do ręki któryś z obiegowych podręczników — a już wie się właściwie wszystko. Ma się jasny sąd o całych epokach dziejowych, o wielkich formacjach kulturowych, o skomplikowanych procesach społecznych i politycznych. Uważa się je za całkowicie zrozumiałe, pozbawione jakichkolwiek ukrytych tajemnic. Świat zdaje się jasny i zrozumiały, wszystko jest w nim uporządkowane, zaś przeświadczenie, że my o tym wiemy, utwierdza nas skutecznie w naszym dobrym mniemaniu o sobie, o naszej intelektualnej sprawności i wiedzy, ułatwiając ferowanie kategorycznych, pretendujących do nieomylności wyroków.

Nie ma w humanistyce gorszej rzeczy, aniżeli takie przyjęte schematy. Nie porządkują one naszej wiedzy, ale umacniają niewiedzę, zaś proponując wszechwyjaśniające, jednoznaczne odpowiedzi na wszelkie pytania, chronią nas przed wątpieniem, czynią niewrażliwymi na to, co się w schemacie nie mieści. Odgradzają nas od adekwatnej naukowej wiedzy, dając w zamian jej atrapę, pobudzają naszą megalomanię, zamiast intelektualnej refleksji.

Ze schematami — o mniejszym bądź większym zakresie — spotykamy się niemal na każdym kroku: szczególnie wiele funkcjonuje ich na obszarze historii kultury i literatury. Wiemy, że są przecież epoki, które uważamy za „ważne", oraz inne, mniej istotne, w których jakoby się działo niewiele. Nauczyliśmy się tego kiedyś i nad wyraz rzadko zadajemy sobie wątpiące pytanie: czy aby wszystko to prawda? Jeżeli zaś coś jest mniej ważne, jeżeli w jakimś czasie czy miejscu nic się właściwie interesującego dziać nie miało, to po cóż mielibyśmy się tym zajmować? Przyjęty schemat nieraz określa kierunek naszych intelektualnych poszukiwań — po prostu nie wkraczają one na pole, które podług niego miałoby być bezowocne.

W historii naszej kultury i literatury schematy rozpadają się w gruzy jeden po drugim. Dawno rozleciał się na drobne kawałki schemat „mroków saskich" głoszący, że w epoce saskiej, poza nadmiernym zamiłowaniem szlachty do alkoholu i dewocji nie ma właściwie nic ciekawego do zaobserwowania. Rozpadł się mit o rzekomo absolutnej antytezie między Oświeceniem a epoką, która je poprzedziła, chociaż schematu tego broniono z uporem. Rozlatuje się na naszych oczach także i inny schemat: o bezpłodności twórczości krajowej w dobie Romantyzmu, mit mający jak się zdaje służyć jeszcze większemu wywyższeniu twórczości emigracyjnej, związanej z imionami Wieszczów. Rozpada się wreszcie schemat głoszący — jak powiedział to Andrzej Kijowski — że „Królestwo Polskie było państwem lękliwych starców; panowała tu nuda i bezczynność". Zaprzeczają mu coraz to liczniejsze badania historyczno-literackie, ukazując jego fałszywość. Zaprzeczyć mitowi jest stosunkowo łatwo, znacznie trudniej jednak wykazać — w oparciu o rozbudowaną argumentację naukową — jego nieadekwatność.

Taki zapewne cel: demitologizacji obrazu dziejów naszej kultury i literatury w dobie Królestwa Polskiego przyświecał młodemu historykowi literatury Wiesławowi Puszowi, kiedy pisał swą, wydaną ostatnio przez Ossolineum (1979) monografię, opatrzoną tytułem: **„Nowy Parnas" przedromantycznej Warszawy, Bruno Kicieński i grono jego współpracowników".** Dobrze się stało, że autor zajął się właśnie postacią B. Kicińskiego. Wiedzieliśmy o niej już sporo, w każdym razie tyle, żeby raz po raz wspominać o Kicińskim jako barwnej postaci intelektualnego życia stolicy w dobie Królestwa Polskiego. Z całokształtu jego aktywności na polu literatury jakże zaangażowanej w życie społeczno-polityczne swego czasu nie w pełni jednak zdawaliśmy sobie dotąd sprawę: wykazał to W. Pusz. Właśnie aktywności: nie przypadkiem autor tej książki zajmuje się „gronem" skupionym wokół Kicińskiego, na które składało się — mówiąc słowami J. Lelewela — kilkunastu „młodzieży dojrzałych, nie uniwersyteckich", odznaczających się radykalizmem zapatrywań. Szczególnie interesujące są ustalenia W. Pusza dotyczące inspiratorskiej roli J. Lelewela w stosunku do tego młodego warszawskiego środowiska — sprawy to ważne, o których nie wszystko wciąż jeszcze wiadomo, nawet badaczom życia i dzieła największego z naszych historyków doby Romantyzmu.

Nie mam zamiaru streszczania tej wielowątkowej, bardzo interesującej rozprawy. Jeżeli zabieram o niej głos i czynię to na tym miejscu, nie zaś na łamach fachowego, historycznego periodyku, robię to dlatego, że autor tej książki drogą drobiazgowego, skrupulatnego badania historyczno-literackiego konkretu nie tylko zapełnił pewne białe plamy w naszej naukowej wiedzy o życiu kulturalnym czasów Królestwa Polskiego, ale — co ważniejsza — dołożył własną, wartościową cegiełkę do wysiłków nauki, zmierzających do przezwyciężenia niegdysiejszych schematów.

ANDRZEJ F. GRABSKI

POLEMIKI

W PRZYĆMIONYM ŚWIETLE

„Najtrudniejszym elementem pracy krytyka filmowego jest konieczność przyjmowania w pewnych momentach perspektywy historycznej. Idzie o to, by możliwie szybko w ocenach poszczególnych dzieł czy grup filmów, w ocenach poszczególnych reżyserów czy kolektywnych tendencji — wykrywać najbardziej generalne prawidłowości rozwoju sztuki filmowej" — pisze w ostatnim numerze „Kina" **Jerzy Płażewski,** jeden z bardzo nielicznych polskich krytyków filmowych, który w swoim pisarstwie łączy kunszt krytyczny z historycznofilmową kompetencją.

Mając w pamięci ten arcysłuszny postulat z narastającym zdumieniem przeczytałem artykuł podpisany tym samym piórem a zamieszczony w 26 numerze **„Kultury" pt. „Ranny w przyćmionym świetle witraży albo o scenariopisarstwie".** W tekście tym Jerzy Płażewski opisuje — w ślad za opublikowanymi w 3 numerze z br. radzieckiego miesięcznika „Iskusstwo Kino" fragmentami dzienników Sergiusza Eisensteina — bodaj najbardziej — obok „Kapitału" — fascynujący pomysł filmowy tego klasyka światowej kinematografii. Chodzi o „Glass House", czyli „Szklany dom", którego projekt Eisenstein opracowywał w drugiej połowie lat 20-tych, równolegle z realizacją „Generalnej linii" i „Października", z myślą o reżyserii tego filmu w Hollywood, dokąd wyjechał w 1930 r. W zamiarze popularyzacji nieurzeczywistnionych, częstokroć utopijnych filmowych idei Eisensteina nie widzę niczego zdrożnego, wręcz przeciwnie niezmierzona i ciągle nader powierzchownie zapoznana spuścizna tego giganta sztuki filmowej kryje w sobie trudne do przecenienia bogactwo twórczych inspiracji — zarówno praktycznych jak i teoretycznych. Wydaje mi się, iż jednym z podstawowych mankamentów świadomości filmowej zmieniających się generacji artystów kina jest brak szacunku dla tradycji, który płynie często z historycznej ignorancji. Tego rodzaju „barbarzyńska" postawa jest niespotykana w sztukach ościennych np. w literaturze czy w teatrze. Zgadzając się zatem z pomysłem Płażewskiego uprzystępnienia polskiemu czytelnikowi nie znanego projektu Eisensteina nie mogę przystać na finalne jego intencje.

Cel krytyka jest taki: przedstawić historię dojrzewania filmowej wizji Eisensteina, wizji zanotowanej w chaotycznej serii rozsypanych wizualnych efektów jako przykład przerastającego w scenariusz myślenia filmowego, jego schwytany in statu nascendi wzorzec do naśladowania przez polskich reżyserów.

„Agituję — pisze Płażewski — za **odwróceniem (czasami!) tradycjonalnego myślenia o scenariuszu. Dlaczego zawsze miałoby się zaczynać od ustalania, że nowe dzieło ma być historią konfliktu mi-łości i ambicji wśród młodych uczestników Konkursu Chopinowskiego, z których jeden, zakochany w dziewczynie, będzie wolał... itp., itd. (...) o scenariuszach startujących od schematu akcji mogę powiedzieć: jest to tradycja znakomita, ale czy jedyna? Czy nie rokuje również pomyślnie mało wyzyskiwana droga wychodzenia od jakiegoś wyrazistego obrazu, od pewnej fascynującej wizji?"**

Otóż właśnie to swobodnie i beztrosko przerzucone nad historią kina skojarzenie pomiędzy poszukiwaniami wiecznego eksperymentatora a mozolnymi wysiłkami rodzimych wyrobników jest głęboko nietrafne, bo zawieszone w próżni, a raczej oparte na fałszywych przesłankach. Jerzy Płażewski pomylił kilka rzeczy naraz. Spróbujmy tę dość skomplikowaną pomyłkę rozsupłać.

Po pierwsze: dręczący Eisensteina przez kilka lat pomysł nigdy nie zastygł w gotowy do realizacji scenariusz. Zasadniczą przeszkodą był właśnie brak fabuły, która związałaby oderwane od siebie epizody w całościową strukturę znaczącą. Ivor Montagu, przyjaciel reżysera i współtowarzysz jego scenariuszowych peregrynacji po gabinetach hollywoodzkich potentatów wspomina w książce „With Eisenstein in Hollywood", że Eisenstein poddawał się w Hollywood seansom psychoanalizy prowadzonym przez niejakiego dra Reynoldsa, **„aby wydobyć na jaw przeszkody, które przeszkadzały jemu samemu w wymyśleniu fabuły „Szklanego domu".** Trudno sądzić o charakterze tych przeszkód poza wielkim zainteresowaniem, jakie Eisenstein żywił dla eksplikacyjnych możliwości psychoanalizy. Warto jeszcze dodać, że w tym okresie reżyser próbował odejść od eksperymentalnej poetyki kina afabularnego na rzecz filmu nawiązującego do wielkich mitycznych metafor zaczerpniętych z historii ludzkości. Zarys takiej metafory ożywiał także koncept „Szklanego domu". Słowem — Eisenstein fabuły poszukiwał, już nie lekceważył jej w tym okresie twórczości.

Po drugie: podając jako wzór dla potomnych jedną z poprzedzających gotowy scenariusz wizji artystycznych Eisensteina nie sposób nie przypomnieć jego własnej, oryginalnej koncepcji scenariusza sformułowanej w tym samym mniej więcej okresie, kiedy tak pisał na ten temat:

„Scenariusz w gruncie rzeczy nie jest materiałem ujętym w skończoną formę, lecz materiałem znajdującym się w pewnym stadium obróbki, gdzieś pomiędzy tematyczną koncepcją a jej optycznym ujęciem".

I dalej:

„Scenariusz stanowi tylko stenogram emocjonalnych porywów pragnących wcielić się w szereg wizualnych obrazów".

Była to kolejna, tym razem produkcyjna utopia artysty, który nader często doświadczał gorzkich ograniczeń stawianych urzędniczą ręką jego niepohamowanej wyobraźni. Problem bowiem polega na tym że scenariusz nie jest — jak chciał tego Eisenstein — **„szyfrem, za pomocą którego jeden temperament twórczy przekazuje pewną treść innemu temperamentowi twórczemu",** lecz w konkretnych, takich a nie innych warunkach organizacji kinematografii dokumentem produkcyjnym, którego kryteria oceny daleko odbiegają od kryteriów wynikających z filmowej ekspresji. Wie o tym dobrze Jerzy Płażewski, równie dobrze jak polscy reżyserzy filmowi. Ocenom podlegają problemy zawarte w scenariuszach, a nie ich potencjał artystyczny.

Artur Sandauer powiedział kiedyś, że gdyby w Polsce któryś z reżyserów przedstawił do akceptacji scenariusz „Powiększenia" to najprawdopodobniej nie otrzymałby zgody na jego realizację. To po trzecie.

Wreszcie — tryb myślenia zademonstrowany w „Szklanym domu" jest regułą dojrzewania filmów wybitnych. Zawsze na początku jest obraz. U Bergmana, Felliniego, Wajdy czy Kutza. Kiedyś „Kino" opublikowało scenariuszowe notatki wraz ze szkicami obrazowych kompozycji do „Bariery" Skolimowskiego. Filmy mierne wynikają z tasowania stereotypowych fabuł. A talentu czy wyobraźni jeszcze nikt nikogo nie nauczył.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

LUDZIE SPOŚRÓD NAS

BEZ ODPOCZYNKU

Dalszy ciąg ze str. 1

Jest przed skrzyżowaniem mosteczek. Jest dom w ogrodzie. Jest żelazna furtka. Ale przed nią przeszkoda. Grupa żołnierzy rozkopała chodnik, zamiast chodnika dość głęboki rów. Pokonuję przeszkodę i zaraz napotykam drugą. Jest czarująca, cała włochata, brązowa i okropnie szczekająca. Na szczęście uwiązana.

I oto już jestem na miejscu.

2.

Co dzieje się dalej z człowiekiem, kiedy mija sława? Co robi później, jak się zachowuje, czym się zajmuje? Zawsze nurtowały mnie te pytania. I oto teraz mam przed sobą okazję znalezienia odpowiedzi na te pytania. Przynajmniej w tym jednym wypadku. Siedzę w pokoju dosłownie obsypanym sportowymi trofeami. Ileż tu pamiątek. Kawał historii polskiego sportu. I teraz będę kawałek po kawałku historię tę odtwarzała, aby dojść do dnia dzisiejszego i znaleźć odpowiedź na moje pytania, na które zawsze chciałam tę odpowiedź znaleźć. Wiem, że będzie to odpowiedź, która dotyczyć będzie tylko tej jednej osoby. W każdym innym przypadku szukać trzeba odpowiedzi na nowo.

3.

Telefon jest na górze. Z pokoju na górę wiodą strome schody. Telefon właśnie dzwoni. Moja rozmówczyni przeprasza i biegnie po schodach na górę. Zaczynam liczyć.

Olimpiada w Amsterdamie była w 1928 roku. Miała wtedy szesnaście lat. W cztery lata później było Los Angeles, a ona miała lat dwadzieścia. W 1936 roku — Berlin, a ona ma lat 24. W 1948 roku był Londyn, a ona miała lat 36. Potem jeszcze występowała dość długo. Chyba z dziesięć lat. To teraz ma lat...

Gospodyni wraca, a ja mimo woli mówię:

— Ależ pani w znakomitej formie! — i łapię się na tym, że brzmi to jak tani komplement, gdyż z dokonywanego w pamięci rachunku wychodzi, że moja rozmówczyni ma 67 lat. Ale ona przyjmuje to normalnie.

— *A co pani myśli. Tyle lat czynnego sportu musi człowieka zahartować. Tej zimy przerzuciłam sama chyba z 60 metrów sześciennych śniegu. A może było tego więcej, kto to zliczy. Gimnastykujemy się codziennie. Razem z Magdą oczywiście. Magda to moja wnuczka. Ja nie umiem być bezczynna.*

Niby siedzimy razem, przy jednym stole, ale ona ciągle jest w ruchu, wstaje, coś załatwia.

— *Nie będę udawać* — mówi — *pewnie, że już zdrowie nie takie jak dawniej. Dwa lata temu poszliśmy na ślizgawkę. Upadłam i potłukłam się. Było jakieś małe złamanie. Lekarz strasznie się zdenerwował. Ślizgawka już nie dla pani — wołał. Ale gdzie tam. Było, przeszło, zagoiło się i ślizgam się dalej. A co to, jest jakiś zakaz, że w moim wieku już nie można się ślizgać na lodzie?*

4.

Mam w domu książkę pt. „Polscy olimpijczycy" i tam na stronie 245 znalazłam taką notę:

„*WAJSÓWNA — GRĘTKIEWICZOWA — MARCINKIEWICZOWA Jadwiga, lekkoatletka, urodzona 30.1. 1912 roku w Pabianicach, absolwentka szkoły handlowej, księgowa, trener, 166 cm, 72 kg. Występowała także jako „Puszówna" i „Jadzia". Reprezentantka „Sokoła" Pabianice, „Boruty" Zgierz, DKS Łódź i „Włókniarza" Pabianice. Grała również w hazenę, zdobywając w barwach Krusche-Ender Pabianice wicemistrzostwo Polski oraz w siatkówkę i koszykówkę. Uprawiała sport przez 32 lata, wycofując się w 1958 roku...*"

Teraz ciśnie mi się na usta pytanie: — Jak to się zaczęło? — ale pani Jadwiga jakby wyczuła je, bo powiedziała:

— *A wie pani, jak to się zaczęło? Bardzo śmiesznie. Ze sportem zetknęłam się już dawno. Jeszcze jako dziecko. W „Sokole" gimnastykowałam się. Była to gimnastyka przy muzyce. Otrzymałam nawet wyróżnienie na ogólnokrajowej imprezie gimnastycznej. Usposobienie do dziś mam żywe. Więc nic dziwnego, że wtedy nie wystarczyła mi gimnastyka. Ale w szkole nie było wolno należeć do klubu sportowego. Trzy razy wylatywałam z tego powodu ze szkoły, ale jakoś mama mi załatwiała, że wracałam. Uczyłam się na księgową i byłam po wojnie księgową, ale nim to się stało sport zajął mi całą wyobraźnię. Grałam w siatkówkę, hazenę, jeździłam na łyżwach, no i lekkoatletyka. Dalej się gimnastykowałam. W 1936 roku byłam nawet w drużynie olimpijskiej gimnastyczek, ale musiałam zrezygnować, bo start był w tej samej porze co dla lekkiej atletyki.*

Brązowa psia piękność nagle rozszczekała się i gospodyni pobiegła na dwór zobaczyć, kogo tam znów niesie?

5.

Ojciec Jadwigi Wajsówny był majstrem tkackim. W domu była piątka dzieci. Żyło się bogobojnie, dbając przede wszystkim o to, aby nie trafić na ludzkie języki. Matka troszczyła się o moralność dzieci w sposób bardzo surowy. Tak się złożyło, że już 20-letnia Jadwiga, jadąc na pokładzie „Pułaskiego" do Stanów Zjednoczonych na olimpiadę w Los Angeles, zobaczyła kobietę w ciąży i powiedziała do koleżanek: — patrzcie jak ona śmiesznie utyła. Koleżanki w śmiech. Dopiero znana przedwojenna dziennikarka pisząca o sporcie, która była świadkiem tej sceny — Kazimiera Muszałówna, wzięła ją do kabiny i wszystko wyjaśniła. To był wstrząs.

Więc proszę sobie wyobrazić, że w takiej bogobojnej rodzinie zjawia się nagle ktoś, kto biega po stadionie w krótkich majtkach, rzuca dyskiem, skacze wzwyż i robi sto innych zupełnie „nieprzyzwoitych" rzeczy. I to wszystko zamiast spokojnie się uczyć i czekać na męża. Ten ktoś ma na imię Jadwiga i pewnego dnia oświadcza, że tak jak Halina Konopacka zdobyła w Amsterdamie złoty medal w rzucie dyskiem, tak i ona zrobi to w Los Angeles.

— *U nas w rodzinie interesowano się sportem. Jak była olimpiada w Amsterdamie* — mówi pani Jadwiga — *to brat słuchał na radiu detektorowym, takim na słuchawki, wie pani, słuchał wiadomości o sporcie i dowiedział się o medalu Konopackiej. Bardzo się z tego cieszył, wszystkim to opowiadał. Ja się tym wzruszyłam i palnęłam: Ja pojadę na następną! Wszyscy w śmiech. Zawzięłam się. Zaczęłam trenować. Jak nie wychodziło, biegłam na strych i tam płakałam w kącie. Nie mogłam teraz inaczej. Powiedziałam. Rozniosło się po całych Pabianicach. I gdyby się nie udało, miałabym zatrute życie. Musiało się udać.*

6.

Udało się, ale tylko w części. Pojechała do Los Angeles. Złotego medalu nie zdobyła jednak.

To był rok 1931, kiedy Jadwiga Wajsówna znalazła się wśród sław polskiej atletyki. W czasie meczu lekkoatletycznego z Włochami Halina Konopacka żegnała się ze sportem. Przegrała w pchnięciu kulą z Wandą Jasieńską, w rzucie oszczepem z Marią Kwaśniewską. Wygrała tylko z Jadwigą Wajsówną. Konopacka rzuciła wtedy 37,69 m, a Jadwiga Wajsówna — 36,72 m. Mimo to Halina Konopacka powiedziała: — *Oddaję dysk w dobre ręce.* I miała rację, bo w rok później, w maju 1932 roku, Jadwiga Wajsówna poprawiła rekord świata Haliny Konopckiej o 16 cm, rzucając 39,78 m.

Rzucała coraz dalej i poprawiała rekord świata. Najpierw 40,34 m, później 40,38 i w czerwcu 1932 roku — 42,43 m. Nic więc dziwnego, że była polską kandydatką na wyjazd do Los Angeles.

— *W Los Angeles nie udało się. Dali nam fińskie dyski o grubych kantach. Ja mam krótkie palce. Miałam kłopot z uchwyceniem dysku w dłoń. To mnie bardzo zdenerwowało. No i to napięcie. Obcy stadion. Świadomość, że to olimpiada. W sumie byłam trzecia. Ale dwa tygodnie później był mecz w Chicago i wtedy pokonałam moje rywalki. Nie było więc tak źle ze mną.*

7.

Wróćmy jeszcze raz na 245 stronę książki „Polscy olimpijczycy". Są tam odnotowane olimpijskie sukcesy Jadwigi Wajsówny.

„*1932 LOS ANGELES: dysk — 3 miejsce na 9 startujących z wynikiem 38,74 (zwyciężyła Amerykanka L. Copeland — 40,58).*

1936 BERLIN: dysk — 2 miejsce na 19 startujących z wynikiem 46,22 (zwyciężyła Niemka G. Mauermayer — 47,63).

1948 LONDYN: dysk — 4 miejsce na 21 startujących z wynikiem 39,30 (zwyciężyła Francuzka M. Ostermeyer — 41,92)".

Ale to tylko te najważniejsze olimpijskie sukcesy. Były przecież i inne.

W 1934 roku Światowa Federacja Sportu Kobiecego zorganizowała w Londynie Światowe Igrzyska Kobiet. Jadwiga Wajsówna rzuciła wtedy 43,79 m i zdobyła kolejny rekord świata. W tymże 1934 roku w meczu z lekkoatletyczną drużyną Niemiec, w meczu zresztą przegranym przez Polki, tylko ona i Maria Kwaśniewska pokonały rywalki.

A Berlin?

Oto fragment wspomnień Kazimiery Muszałówny:

„*Berlin jak w przededniu wojny. Ulice i kawiarnie rozbrzmiewają tylko jednym rytmem — wojskowego marsza, którego takt sterował krokiem przechodniów...*"

Na podium stała między dwoma Niemkami: Gizelą Mauermayer złotą medalistką i Paulą Mollenhauer brązową. Jan Lis i Bogdan Tuszyński — autorzy książki „Wspomnienia olimpijskie" — znaleźli w starym niemieckim albumie takie właśnie zdjęcie Jadwigi Wajsówny stojącej między dwoma Niemkami.

„*Wyciągnięte przed siebie ręce obu Niemek* — napisali oni w tej książce — *każą się domyślać, że odwzajemniają pozdrowienie Hitlera. Wajsówna stoi smutna, lekko się uśmiecha. Jakby przeczuwając, że dopiero za 12 lat pojawi się znów w zaczarowanym kole*".

Po wojnie sport odradzał się dopiero. Kraj jeszcze był w odbudowie. Wszystkiego brakowało. Nie było czasu na właściwe treningi.

— *Na stadion zajrzałam przypadkiem, może z tęsknoty* — wspomina pani Jadwiga. — *Miałam już tytuł trenera, mogłam zajmować się młodzieżą. Ale jakoś mnie jeszcze ciągnęło. Okazało się, że mam dobrą kondycję i wcale nie muszę się wstydzić swoich startów. Więc startowałam. W Poznaniu był mecz lekkoatletyczny Polska — Japonia. Za pierwsze miejsce w rzucie kulą nagrodą była piękna kryształowa patera. Bardzo mi się podobała. Więc rzuciłam kulą. Konkurencję wygrałam, ale patery nie dostałam. Podobała się widać komuś innemu, a ja dostałam... stolik. Za to wytypowano mnie na olimpiadę w Londynie.*

— *Ale to wszystko nie było takie proste* — mówi dalej. — *Widzi pani, wtedy nie było łatwo. Miałam już dzieci. Pracowałam w Łodzi i musiałam dojeżdżać do Łodzi z Pabianic. Nie mogłam pojechać na obóz przedolimpijski. Trenowałam w parku, ale to nie było to. Mimo to, nie byłam najgorsza. Czwarte miejsce też się liczy. A nasz sport był daleko w tyle za innymi. Myśmy w sporcie ponieśli ogromne straty.*

W książce Jana Lisa i Bogdana Tuszyńskiego „Wspomnienia olimpijskie" znalazłam taki fragment dotyczący występu Jadwigi Wajsówny na olimpiadzie w Londynie:

„*Gdyby Jadwiga Wajsówna mogła intensywniej trenować, to znaczy gdyby miała warunki do treningu, kto wie, czy ta Olimpiada nie przyniosłaby jej największego sukcesu. Rzucała stylowo kapitalnie, dysk z jej rąk wychodził jak pocisk, równo krajał powietrze*".

— W *Londynie* — powiada pani Jadwiga — *poznałam Ninę Dumbadze, z którą bardzo zaprzyjaźniłyśmy się. Pisujemy do siebie do dziś.*

8.

Znów dzwoni telefon. Pani Jadwiga zrywa się i pędzi na górę. Długo z kimś rozmawia, a gdy wraca, mówi:

— *Takie moje sprawy. Bo ja choć już jestem na emeryturze, to nie przestałam działać. Sportem interesuję się, ale jako kibic. Oglądam mecze. Bardzo lubię patrzeć na zawody lekkoatletyczne. Kolarstwo mnie interesuje. Automobilizm mnie interesuje. To przez sympatię dla pierwszego męża, który też był automobilistą. Maciej, mój syn, poszedł w ślady ojca.*

Wnuczkę, Magdę, uczę gimnastykować się. Kobiety powinny się gimnastykować. To dobrze wpływa na sylwetkę. Niech pani popatrzy, jak dziś chodzą kobiety. Fatalnie. A ja do dziś staram się chodzić prosto, lekko. W moim wieku to już nie jest łatwe. Czasem bolą mnie kości. Reumatyzm. Wojna daje o sobie znać. Ale nie daję się. Nie wolno się poddawać. Nie wolno być bezczynnym.

Czego nie lubię? Nie znoszę chuliganów, pijaków, oszustów. Jak zobaczę młodych, że się źle zachowują, śmiecą, chuliganią, to im zwracam uwagę, że Pabianice są miastem odznaczonym medalem i tutaj nie wolno tak się zachowywać. Czasem skutkuje. Młodzież mnie lubi. Często spotykam się z młodzieżą. Mam spotkania w szkołach. Opowiadam im takie wesołe kawałki z mego życia. To się im podoba. Może zachęcą się do sportu. Jakiś czas jeździłam z takim zespołem który wystawiał „Rapsod olimpijski". Ale to nie było w porządku. „Odgłosy" o tym pisały. Teraz z Karolem Obidniakiem jeżdżę z „Laurem olimpijskim".

Byłam też kierownikiem w czasie budowy ośrodka wypoczynkowego na Bugaju w Pabianicach. Doprowadziłam do otwarcia tego ośrodka. Przedtem trenowałam. Najbardziej lubiłam młodzież o niespokojnych charakterach, żywą. Ja sama kiedyś taka byłam, może dlatego właśnie. Uważam, że tylko takie typy mogą do czegoś dojść, bo mają w sobie pasję. Bez pasji nic się nie osiągnie. Taką pasję trzeba w sobie rozwijać. Wychowawcy też muszą w tym pomagać. To jest w człowieku najwartościowsze.

Lubię dzieci i lubię młodzież. Dlatego nadal pracuję w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci. Zajmuję się Kołem Dzieci Specjalnej Troski. Mam troje wnucząt, dwóch synów. Cała rodzina. Oni wszyscy idą do pracy, do szkoły, a ja zostaję w domu. Jestem babcią, gospodynią. Czasem turystką. Jeżdżę jako rencistka. Na wycieczki. Jak byłam kiedyś w Moskwie na Łużnikach to podchodzi do mnie radziecki trener i pyta: — Wy skądź Z. Pabianic... Wy Wajsówna. Współtowarzysze z wycieczki mieli pretensje że się nie przyznałam, bo używam nazwiska po drugim mężu, Marcinkiewicz. A z nim, z tym radzieckim trenerem sędziowaliśmy kiedyś razem w Katowicach. To i zapamiętał. Ludzie jeszcze pamiętają.

9.

Brązowa psia piękność obszczekała gniewnie moje odejście. Dlaczego z taką pasją i tak gniewnie?

— *Niech się go pani nie boi* — tłumaczyła psa pani Jadwiga, odprowadzając mnie do furtki. — *On tylko udaje takiego groźnego. To bardzo miły i wesoły pies. Ale nie mogę go spuścić z łańcucha, bo by pół Pabianic wystraszył swoim szczekaniem.*

BOGDA MADEJ

W TELEWIZJI

OGÓRKI

Ogórki nie tylko w sklepach warzywno-owocowych, ale i w telewizji. Potrafimy zrozumieć wszystkie okoliczności obiektywne, urlopy w teatrach, w redakcjach i w technice telewizyjnej. Zrozumiałe więc, że na program artystyczny składają się głównie powtórki. Ale i z powtórkowych pozycji dałoby się chyba zakomponować program bardziej interesujący, gdyby się chciało lepiej pogrzebać w filmo- i taśmotekach.

Polityka repertuarowa naczelnej redakcji filmowej i naczelnej redakcji programów teatralnych pozostawia wiele do życzenia. Co więcej wydaje się zawierać elementy braku szacunku dla odbiorcy programu. Czy z rzeczywistej znajomości zapotrzebowania widzów wynika serwowanie im w poniedziałkowe wieczory samej klasyki teatralnej, choćby tej najlepszej — Fredry, Moliera, Czechowa?

Nie jestem niestety odosobniony w żalach pod adresem kierownictwa programowego naszej telewizji. Od lat nie potrafi ono w sposób racjonalny i zadowalający rozwiązać problemu letniej rozrywki dla telewidzów. A telewizję ogląda się przecież dziś już gremialnie także i latem. Robią to zarówno ci, którzy pozostają w mieście i pracują, jak i korzystający z wczasów. W tym roku sprzyja temu także nie najlepsza pogoda w lipcu. Jak wytłumaczyć ludziom gromadzącym się masowo przed telewizorami owo ulgowe ich traktowanie przez redakcje telewizyjne?

Wyrzuciłem z siebie porcję żalów, teraz mogę przejść do omówienia zaległej pozycji w mym recenzenckim portfelu. Serial „Doktor Murek" reżysera Witolda Lesiewicza. Nadawanie jego zakończyła telewizja przed miesiącem, ale tak się złożyło, że dopiero teraz mogę wrócić do tej sprawy.

Tadeusz Dołęga-Mostowicz, autor „Znachora", „Kariery Nikodema Dyzmy", „Braci Dalcz i spółka", „Pamiętnika pani Hanki" i innych popularnych w okresie międzywojennym powieści, był — jak się twierdzi — pierwszym polskim pisarzem, który docenił znaczenie tak zwanej kultury masowej, tej kultury, która obejmuje obecnie swym oddziaływaniem setki milionów (a może miliardy?) ludzi na całym świecie. Dziś można w masowej kulturze nie gustować, szukać dla siebie bardziej intelektualnej strawy duchowej nie sposób jednak kulturę tę lekceważyć.

Za czasów Dołęgi-Mostowicza było inaczej. Intelektualiści, twórcy kultury, nie cenili sobie odcinka powieściowego w gazecie codziennej, książek kryminalnych kina. Pisarz, który jak Dołęga świadomie poszedł w kierunku twórczości dla masowego odbiorcy, traktowany był jako autor minorum gentium. Do dziś dnia nie doceniamy go, choć powieści jego miały wiele wznowień i powracają w przetworzonej formie na ekrany kinowe.

Moim zdaniem Dołęga-Mostowicz był prekursorem świadomym tego, że idą czasy, w których zapotrzebowanie na twórczość o charakterze sensacyjnym i popularnym będzie rosło. Gdyby nie przedwczesna śmierć podczas działań wojennych we wrześniu 1939 roku, mógłby z pewnością stać się po wojnie asem atutowym w zakresie scenariuszy filmowych i telewizyjnych. Zapowiedzią tego było zainteresowanie się tuż przed wojną twórczością jego ze strony producentów hollywoodzkich.

Dwie powieści Dołęgi-Mostowicza, „Doktor Murek zredukowany" i „Podwójne życie doktora Murka", posłużyły już przed wojną reżyserowi Juliuszowi Gardanowi do nakręcenia filmu „Doktor Murek", którego słabością było obsadzenie w roli tytułowej popularnego, ale nieodpowiedniego do tego zadania aktora Franciszka Brodniewicza. Jerzy Zelnik, grający tę samą postać w serialu telewizyjnym Witolda Lesiewicza, ma z pewnością więcej danych do tego go predestynujących.

Niemniej jednak nie wydaje mi się, by serial można było uznać za w pełni udany. Oglądało go się z pewnym zainteresowaniem, ale i niedosytem równocześnie. W poszukiwaniu przyczyn miernego dosyć sukcesu sięgnąłem po książkę Dołęgi-Mostowicza. Mimo naiwności i nawet kiczowatości wydała mi się znacznie lepsza od swej telewizyjnej przeróbki. Słabość serialu polegała chyba na dosłowności, z jaką scenarzysta i reżyser potraktowali materiał literacki.

Czytając powieść, odczuwałem pewien dystans, z jakim autor traktował swoją opowieść. Dystans ten określiłbym jako świadomość gatunku powieściowego, do jakiego „Doktor Murek" przynależy. Zdemonizowane losy zredukowanego urzędnika komunalnego były dla pisarza swoistą metaforą skrzywionym obrazem chorego społeczeństwa. Nie doszukałem się tych akcentów w serialu Lesiewicza.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

W WITRYNIE

Foto: R. Łucyszyn

KSIĄŻKI O ŁODZI

Ulica Piotrkowska, stała się swoistą witryną, gdzie można obejrzeć zarówno najlepsze wyroby łódzkiego przemysłu, jak i sylwetki przodowników pracy — ludzi, którzy swoje życie związali z socjalistyczną ojczyzną.

Nie zabrakło w tej reprezentacji łódzkiego środowiska literackiego. Staraniem **„Domu Książki"** i **Wydawnictwa Łódzkiego** w oknach wystawowych pięciu księgarń (na odcinku ul. Piotrkowskiej pomiędzy pl. Wolności a al. A. Mickiewicza) są prezentowane książki, które powstały w tym mieście i są tego miasta najnowszą, bo pisaną in statu nascendi, historią.

W oknie wystawowym księgarni wydawnictw importowanych przy ul. Piotrkowskiej 23 został przedstawiony dorobek łódzkiego środowiska literackiego w dziedzinie trudnej sztuki translatorskiej pod hasłem: „Przekłady łodzian — łodzianie w przekładach".

W księgarni „Pegaz" zorganizowano wystawę pod hasłem „Poezja w mieście włókniarzy".

W trzecim oknie wystawowym, którym jest księgarnia „Światowid" pod nr 86 został zebrany niemal cały dorobek prozatorski łódzkiego środowiska literackiego pod hasłem „Piórem łódzkich powieściopisarzy".

W księgarni naukowej przy Piotrkowskiej 102a zgromadzono prace pod hasłem „Łódzka oficyna nauce".

W księgarni przy Piotrkowskiej 149 pod wspólnym hasłem „O Łodzi w książce i albumie" zgromadzono albumy obrazujące przemiany zachodzące w mieście.

W sumie Wydawnictwo Łódzkie przekazało na wystawę 60 tomów przekładów, 50 tomików poetyckich, 250 książek prozatorskich, 80 pozycji popularno-naukowych oraz 50 tzw. łodzianianów.

LUDZIE SPOŚRÓD NAS

Dalszy ciąg ze str. 1

mi opadły. Ale z tyłu nie zostaję, robię roczny kurs wyższych studiów zawodowych.

— Córka Wandy będzie studiować wiolonczelę! — oznajmia z dumą babcia.

Danka ma najmniejsze dzieci, Radek właśnie przyniósł dyplom z przedszkola, trudno więc jej zabrać się do studiów. Ukończyła technikum rachunkowości rolnej i została w szkole, ale nie jako nauczycielka.

— Za to jako główna księgowa — zaznacza z naciskiem dziadek. — *Wszystkie nauczycielki podliczy!*

— A zamilkłby ty, psiakrew! — gromi go żona. *— Kogo twoje durności interesują?*

Więc teraz już poważnie, jak było. Tam, u nich, w Bobrówce, front stał przez sześć miesięcy. Niemcy robili ze wsi martwe pole, dogodne do ostrzału, gdyby Rosjanie chcieli podejść. Kilka wsi zniszczonych doszczętnie, w Bobrówce na 120 domów ocalało 18. Dobytek Niemcy zabrali, ludzi przegnali, ale co nieco dało się ukryć. Zboże zakopane, krowa w ziemiance, tam ją doili. Przy tym wyganianiu żona z dziećmi na rękach poszła tam, gdzie kazali Niemcy, a Jaroszewicz z jedną córką zaczął umykać chyłkiem, wymknął się spod oka Niemców i spod ostrzału i cudem spotkał się w bezpiecznym miejscu z żoną.

— A teraz ten koń „nie do schwytania", panie. Koń to majątek, jakże szkopom oddać? Udawałem kulawego, że to niby nie mogę złapać. Otwórzcie zagródkę, mówię, to sami złapiecie. Niemiec wrzeszczy, że ja chcę ruskim zostawić i mierzy mi w głowę z karabinu. Z Wandą byłem, ręce mi opadły, bo co z nią? Drugi Niemiec powstrzymał tamtego, wypuścili konia, ja go sprytnie skaleczyłem w szyję, krwawił i trochę okulawiłem. I tak go „łapałem", aż odpędziłem do lasku, złapałem Wandę na ręce i w nogi! Dzięki temu koniowi przyjechałem do Ogródka.

— Nie żal było opuszczać Bóbrówki?

— Żal, panie, ale taki los. — mówi Jaroszewiczowa. *— Jak zaczynać od nowa na tej spalonej ziemi? Ja pochodzę spod lasów, bracia moi podesłali trochę drzewa i mąż stodołę postawił. A jego brat już w marcu 1945 roku ruszył na Prusy, bo tak te ziemie moja matka do dzisiaj nazywa. Nie wraca ten brat męża, ludzie mówią, że go Niemcy ubili, Antoni buduje piwnice, a tu wraca ten „zabity" i opowiada, że za Grajewem gospodarek pustych od cholery.*

— Sam jednak nie chciał tam osiąść — podejmuje Antoni. *— I co robić? Ziemi u nas 12 ha, dzielić na pół? Co za gospodarka? Trzech nas ze wsi zaryzykowało, żeby obejrzeć te ziemie odzyskane. Czas był niepewny, to i ja się przysposobił należycie. Wziął, panie, kilka flaszek litrowych samogonu do worka z obrokiem, kartkę papieru wziął, monetę umaczał w atramencie, odbił orzełek na papierze i dalej w drogę. W Bajtkowie posterunek mnie zatrzymał i pyta „kuda?". Siostra mi zaginęła przez wojnę, mówię, szukać jej jadę. Samogon z worka, droga wolna. Ale w Grajewie już ostrzej, sto furmanek trzymają i nie przepuszczają. A ja macham „przepustką" i oświadczam, że żywność wiozę, bo w Grajewie ludzie głodują. Podparł ja to oświadczenie dwiema flaszkami i wszyscy ruszyli, ludzie mnie po rękach całowali. Zawiesili my kartki na domach, że zajęte, ja wybrał pośrodku wsi dom z karczmą i 14 ha ziemi. Wracam do Bobrówki, ludzie krzyczą: „żyje Antoni, a mówili, że zabity".*

PRZY RODZINNYM STOLE

I tak, w lipcu 1945 roku, Antoni Jaroszewicz przyprowadził do Ogródka 9 furmanek z pierwszymi osadnikami, wśród których był między innymi jego szwagier. Dostał akt nadania, miał więc solidny dom, konika i krówkę, a wokół chwasty, odłogi i różni ludzie, nie zawsze przychylni. Niektórzy ukrywali się, od polskich świń wyzywali, straszyli, że się odwróci i będzie pełne jezioro pływających polskich trupów. Na razie jezioro pełne było ryb, gdyż od kilku lat nie tylko nie uprawiano ziemi, ale i ryb nie łowiono. Osadnicy wchodzili do wody i koszami wyciągali ryby, było co jeść przynajmniej.

— Jezioro błotne i ryby niesmaczne — zauważa Irena.

— Jak było głodno, to smaku nie szukał! — mityguje ją matka. *— Przynajmniej ryby wtedy były. A teraz spółdzielnia rybacka tylko by je wyciągała, nic w zamian nie dając. W tym roku jezioro zamarzło głęboko i gdy przyszła odwilż i lód puścił przy brzegu, ryba przypłynęła w wielkich ilościach za powietrzem. Rybacy z tego skorzystali, ci ze spółdzielni i kilka tysięcy węgorza wyciągnęli...*

— O to, to! — przytakuje Antoni. *— Nieraz sobie myślę gorzko, że ja był pionierem, walczył z odłogami, ziemię uprawiał a inni jej nie szanują. Niestety, PGR nie stanowi wyjątku. Zeszły rok był mokry, to PGR kupował u mnie siano. A teraz dużo pola nie obsianego. Ja mam 70 lat i swoje pięć hektarów obrobiłem na czas...*

— A jaka w tych pierwszych latach panowała tutaj atmosfera?

— Atmosfera była taka, że mnie któregoś dnia powiedziano: „Oddaj akt nadania". Bo objąłem gospodarstwo po autochtonie Pęskim i po kilku miesiącach on się odnalazł. Mieszkał w Węgorzewie, gdzie miał dom, a w innej wsi miał jeszcze jedno gospodarstwo. Jako autochton szybko doszedł swoich praw. A ja aktu nie oddałem, płaciłem mu jednak dzierżawę, jak plenipotentowi jakiemu. Potem zażądał wypłacenia tej dzierżawy z góry, na co się nie zgodziłem. Gospodarki nie opuszczałem, niech daje mieszkanie zastępcze. W końcu znudziło mi się to, zrzekłem się gospodarki i zacząłem pracować w geesie. Potem żałowałem, bo niektórzy zaczęli wyjeżdżać za Łabę, w 1960 roku już ich tu nie było.

A w tych pierwszych latach orał o księżycu, ósma rano już wracał z pola. Spać nie mogli z żoną, więc wstawali w nocy i do rana sześć fur gnoju potrafili wywieźć z obory. Kosił łąki, gdzie nie zbierano trawy, zakładał na tyczkę ostry „widelec" i wycinał osty ze zboża, buraki wyciągał z ziemi rękami, każdy musiał być czysty, oskrobany. Kontyngenty trzeba było oddawać, on jako „kułak" w 1947 roku potrafił już oddać państwu z tych odłogów 70 kwintali samego żyta. Niepewnie było. Niemcy mieli wrócić, taka propaganda, ten i ów uciekał, nabrał, co mógł i uciekał.

— Ale to nie byli ludzie z gospodarki. Cwaniaki, co nie kochali ziemi. Ja, żeby wykarmić bydło, kosił trawę i na poligonie. Zajechali my raz, naładowali furę siana, a tu strzelanina, fiut-fiut, gwizda koło uszu. Ustawił ja wóz tyłem, żeby kulki mi konia nie trafiły, tylko biły w siano, nagle żołnierz wyskakuje i krzyczy, że nie wolno, uciekać, bo trup jaki padnie. A moja Wanda, z dziesięć lat miała, mówi, żeby nie straszył, bo ona z tatuśkiem nie taką wojnę przeżyła...

— Innego strachu też tu było — podchwytuje Jaroszewiczowa. *— Komendantura blisko, w Klusach, ale złodziejstwa nie upilnował. Konie my trzymali pod kluczem i jeszcze był drut z dzwonkiem, wszystko na nic, bo ukradli, szczęście, że znaleźli.*

— A kany z mięsem nie buchnęli?

— A raz siedzę samiuteńka w izbie, o zmroku, podchodzi jeden do okna, zagląda, a ja nic. To on kozik bierze, kit zeskrobuje, a ja nieporuszona. Odszedł, pomyślawszy, co w izbie nieboszczka siedząca...

Jaroszewicz stwierdza obiektywnie i szczerze, że w dawnych czasach w Bobrówce mógłby ręce urobić, nogi uchodzić, a czterech córek by nie wykształcił.

— Dużo zawdzięczamy matce — oświadcza Danka. *— My już chyba nie zdobędziemy się na tyle energii, inwencji, zapału i siły, ile ona posiada. W szkole podstawowej trzy Jaroszewiczówny tańczyły w ośmiu parach kujawiaka, do którego stroje wykonała mama. Kiedy wody nie było i pracowała w zlewni, dźwigała wiadra z jeziora. Do dziś trzyma 70 kur, 3 krowy, świnie, sama obsługuje parnik, a do tego wchodzi pięć koszy ziemniaków...*

Jaroszewiczowa mówi, że sama się dziwi, jak człowiek może tyle wytrzymać. Pracowała w zlewni i w wiejskim sklepie, i w gospodarstwie. I dostała najniższą emeryturę. Dwa lata pracowała na etacie, trzy lata na ajencji, a w ogóle to dwadzieścia lat. Urzędniczka zaczęła jej tłumaczyć, że trzeba być 5 lat na ajencji i płacić składki, i dała jej połowę renty. Gorzko.

Jaroszewiczowa mówi do córek:

— Ojca chwalcie, nie mnie! Albo i same siebie, wiecie, co to ciężki kawałek chleba.

Wanda, z namysłem i powagą:

— Woziłyśmy do internatu wszystkie piernaty, bo tam nie było. Trzeba było płacić za wyżywienie, jak dwie siostry były w klasie, to jedna dostawała stypendium. Ojciec hektar odłogów obsiał lnem, żeby zdobyć trochę pieniędzy. Przyjeżdżałyśmy do domu i pełłyśmy ręcznie ten len. Niedziela, ludzie się bawią, a my zwozimy z ojcem siano na wąskim żeleźniaku, który wywraca się w kolejnach, trzeba widłami podtrzymywać. Rozpacz. Zwoziłyśmy zboże i siano, ciągnęłyśmy wodę ze studni i rąbały drzewo. Te moje „inteligenckie" rączki są mocne, dobrze wyrobione od siekiery. Nam wykształcenie nie pozwala zapomnieć, co to jest praca i ciężkie życie...

Irena, z humorem...

— Jedna kura niosła się kilometr od domu, i tam wysiedziała pisklęta. Burza idzie, mama krzyczy, że pisklęta zaleje! Poszłam, kurczaki uratowałam, a sama zachorowałam na zapalenie płuc. Mama z tatą zawsze się sprzeczali, czy stawiać nowy dom, czy tylko cegłą podreperować. Niemiec postawił to na starych fundamentach, wszystko zagrzybione, ledwie się trzyma. Jak szła burza, mama wynosiła graty na podwórze, bo mogło się zawalić. Byłyśmy na swoim, już dorosłe, ale przy każdej burzy martwiłyśmy się, czy chałupa nie runęła ojcom na głowy. Myślę, że przy tej imieninowej okazji warto powiedzieć więcej o tatusiu, bo on skromny, a wiele zdziałał. On, mimo swoich siedemdziesięciu lat, wszystko ma na polu zrobione. W zeszłym roku ludziom siano pogniło, a jemu nie. Robota nigdy nie pozwalała mu stać. Pracował w sklepie i ma rentę inwalidzką. Chowa maciorę, co roku odstawia 24 warchlaki. W 77 r. sprzedał państwu za 126 tys. złotych, w 78 byłoby za 144 tys., ale nie było umowy na warchlaki. Za to wyliczono im rentę w wysokości 3 tys. zł, tego nie mają właściciele 10 ha. Ale rodzice nie skorzystają z tej renty.

Opowiadają, solenizant wtrąca coś skromnie, nie lubi się chwalić. Opowiadają, że kolei nie było i zimą wszędzie jeździło się saniami. Zimno, głodno, zachorował na tyfus. Mróz 35 st., a lekarzy nie ma. Komendant posterunku w Ogródku gonił go do szpitala, bo całą wieś zarazi. Miał 41 st. gorączki, więc szwagier pojechał saniami 8 km do Bemowa po lekarza wojskowego, który uratował go i całą rodzinę bez szpitala.

Ten dom kupił od kogoś, kto wyjechał z kraju, a jego ziemię kupił od państwa, pięć hektarów. Kiedyś zapalił się wiatrak, wybuchała amunicja spłonęły zabudowania gospodarcze. Trzy razy płonęły spółdzielcze stodoły ze zbiorami, paliły się peegerowskie sterty pszenicy, Jaroszewicz ratował. Założył straż ogniową, był jej prezesem od początku, od tej ręcznej motopompy, ma medal za 50 lat działalności w OSP.

Przeżył wszystkie trudne okresy, błędy, te na siłę założoną spółdzielnie produkcyjną także. Trzykrotnie organizował wybory do rad narodowych. Organizował punkt skupu w GS w Samocku i zlewnię mleka w Ogródku. GS za jego działalności zajęła I miejsce w kontraktacji i skupie żywca w województwie białostockim.

Sprowadzał kościuszkowców na występy artystyczne, zakładał koło ZSL, prezesem jest od początku do dziś, ma za tę działalność dyplom od rady powiatowej.

— Miałem otrzymać mieszkanie spółdzielcze w tym roku, ale dla mnie zabrakło. W przyszłym roku będzie już na pewno i wtedy opuszczę wieś. Cóż, byłem pionierem, oddziaływałem na innych, zrobiłem swoje i mogę odejść.

Antoni Jaroszewicz ma prawo odejść. Ma prawo obchodzić hucznie i uroczyście swoje ostatnie na wsi imieniny. Trzydzieści pięć lat życia poświęcił pięknej sprawie. Żeby na tej zniemczonej, starej polskiej ziemi znowu była Polska, ludowa i sprawiedliwa, mocna i dostatnia. I jest, a życie Antoniego jest cząstką udziału tysięcy Polaków w jej powstawaniu i krzepnięciu.

Stary dom i uprawiana wokół niego ziemia, ciężka i gliniasta, nad jeziorem, z którego wyciągało się kiedyś ryby koszykami, nie pozostaną bez dziedzica. Szwagier Antoniego kupuje to gospodarstwo dla swojego syna.

RYSZARD BINKOWSKI

SZTUKI PIĘKNE

ANDRZEJ GRUN

TRIENNALE I MAŁE FORMY

Dwie interesujące wystawy pędzą samotniczy żywot w dwóch łódzkich galeriach. III Triennale Malarstwa i Grafiki pod nazwą: **„Nasz czas — metafora — tendencje"** w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku im. Henryka Sienkiewicza i **„Małe Formy Grafiki"** w Galerii przy ul. Wólczańskiej 31/33. Celowo podaję tu adresy galerii. Z myślą o tych, co chcieliby się dowiedzieć, gdzie się one znajdują i o tych, co zdążyli zapomnieć. Jest bowiem w tym mieście zwyczaj od lat troskliwie pielęgnowany, że gazety codzienne: „Głos Robotniczy", „Dziennik Popularny", „Express Ilustrowany" — nie podają w swoich rubrykach informacyjnych żadnych wiadomości o aktualnych wystawach plastycznych w łódzkich galeriach.

Po lekturze tych informatorów i mieszkaniec Łodzi, i przyjezdny łacno trafi na kąpielisko „Fala", do Lunaparku, a także zdąży obskoczyć Ogród Botaniczny i ZOO. Być może we wspomnianych gazetach panuje przekonanie, że tych, co chodzą na wystawy jest tak mało, iż nie warto dla nich marnować nawet tych kilku linijek druku. Bo chyba brak wyczerpujących informacji o wystawach plastycznych w codziennych gazetach nie jest świadomym aktem dyskryminacji sztuk pięknych ani też brakiem rozeznania, co się dzieje na co dzień w łódzkiej kutlurze. Takiej myśli nawet do siebie nie dopuszczam.

Jak tam jest z tą informacją, tak jest. W każdym razie dwie interesujące wystawy są aktualnie w Łodzi czynne, a na najbliższą przyszłość Biuro Wystaw Artystycznych ma jeszcze coś w zanadrzu.

III Triennale Malarstwa i Grafiki pod nazwą **„Nasz czas — metafora — tendencje"** zgromadziło wiele dzieł sygnowanych znanymi i mniej znanymi nazwiskami artystów. Kilku, których twórczość moim zdaniem w pełni odpowiada założeniom programowym Triennale nie bierze udziału w wystawie. Nie ma obrazów Pągowskiej, Dudy Gracza, Beksińskiego, Markowskiego, Nowackiego, Fałata... Za to jest kilkadziesiąt obrazów i grafik, które mogłyby wisieć na każdej innej wystawie, obojętnie jak zatytułowanej. Nie oznacza to wcale, że są to obrazy gorsze lub lepsze od innych, od tych które w jakiś sposób nawiązują jednak do programu imprezy. Notabene do tego programu nawiązuje bardzo niewiele dzieł prezentowanych na wystawie. Ale udział w Triennale biorą tylko artyści zaproszeni przez organizatorów, można zatem zastanawiać się tylko nad wyborem tych a nie innych nazwisk. Faktem jest, że wszystkich zaprosić nie sposób.

W programie Triennale czytamy: **„W epoce rozdrobnienia nurtów i kierunków w sztuce mimo woli pojawia się chęć szerszego spojrzenia na pewne problemy. Zatem odrzucając pozorne różnice szukamy wspólnie źródeł w idei. Nasz czas. Artyści różnym językiem mówią o dniu dzisiejszym, o pięknie i tragiczności „Naszego Czasu". Szukają siebie, szukają człowieka, szukają punktów odniesienia, w obawie, że już jutro może ich zabraknąć. Artyści „naszego czasu", ten czas pragną zrozumieć, zdefiniować i są bijącym pulsem wyznaczającym stany zapalne naszej cywilizacji".**

Program imprezy jest zatem sformułowany w ten sposób, że można w nim pomieścić wszystkich twórców albo... zaledwie kilku.

W cytowanym powyżej programie, czytamy jednak coś innego jeszcze:

„Pojęcie naszego czasu, a więc współczesności i aktualności wyrażane przez różnych artystów jest tyleż odmienne w sposobie realizacji co jednorodne w aspekcie szeroko rozumianej problematyki humanizmu. Wspólność ideałów łączy się z różnorodnością temperamentów i umysłowości. Stąd w obrębie ogólnej koncepcji kreowania i wyrażania mieszczą się wielorakie tendencje formalne. Pragniemy te tendencje ujawnić, dając artystom możliwość wzajemnej konfrontacji dzieł i ich twórców".

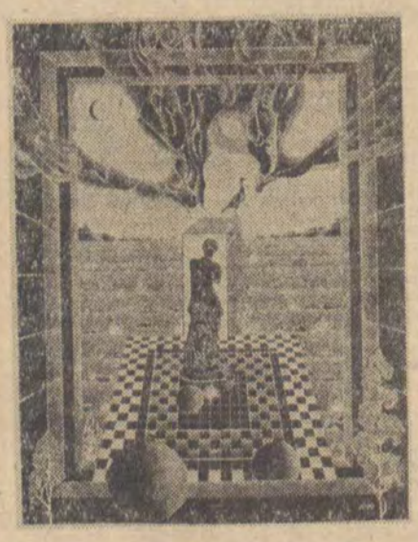

Henryk Płóciennik — Arcydzieło II 1979. Autocynkografia.
Foto: W. Maciejewski

Właśnie: wielorakie tendencje formalne! Tu rodzą się pewne wątpliwości. O jakie tu wielorakie tendencje chodzi? Wszak poza Brzozowskim, Tchórzewskim, Fijałkowskim i kilkoma innymi, cała reszta wystawiających jest z sobą w dość bliskiej komitywie. Różnice między nimi wynikają z indywidualności poszczególnych twórców lecz nie z odrębności formalnych, które można by ze sobą zderzać. Te odrębności są w gruncie rzeczy tak znikome, że o istotnej konfrontacji nie może być mowy. Zaistniałaby taka ewentualność gdyby na przykład obok Liberskiego powiesić obrazy Fałata i Pągowskiej. Takich zderzeń oczywiście można by skomponować całe mnóstwo. Podałem jeden z najprostszych wariantów.

Dlatego oglądając ekspozycję III Triennale należy na nią patrzeć nie jak na wystawę o jakimś specjalnym, wyraźnie zarysowanym założeniu, lecz jak na zbiorową wystawę, na której zgromadzono kilkanaście ciekawych obrazów i grafik, a zwłaszcza grafik. Warto ją zobaczyć choćby dla zestawu obrazów Ryszarda Hungera, który został zresztą nagrodzony medalem. Artysta ten od kilku lat pracuje nad tematem „Okno", łącząc ciekawe wartości intelektualne z walorami malarskimi. Ponadto warto dla grafik Rózgi, Pietscha, Gaja. Dla wielu innych grafików i malarzy.

Druga z kolei wystawa, której pełny tytuł brzmi: **„Małe Formy Grafiki — Polska — Łódź 79"** jest wystawą międzynarodową zorganizowaną przy współudziale Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki. Zamiarem organizatorów jest przekształcenie jej w ekspozycję cykliczną. Sądząc po tej obecnej — doprawdy warto o tym pomyśleć serio.

W wystawie biorą udział polscy graficy, artyści z Czechosłowacji, Związku Radzieckiego, RFN, Anglii, Japonii, Hiszpanii. Każdy z wystawiających prezentuje zestaw kilku grafik, wykonanych najróżniejszymi technikami, od klasycznych technik trawionych po barwne i monochromatyczne tłoczenia reliefowe. Dominuje oczywiście exlibris traktowany zresztą bardzo swobodnie. Ale są także drobne formy graficzne, małe arcydzieła, które mogą być używane bądź jako przerywniki, ilustracje, winiety, bądź też jako całkowicie samodzielne utwory, niezależne od jakiegokolwiek tekstu. Ten rodzaj grafiki, a zwłaszcza exlibris jest u nas, zarówno wśród twórców jak i odbiorców, bardzo popularny, lubiany i ceniony (wystarczy wspomnieć cykliczne wystawy exlibrisu w Malborku, Warszawie, Wrocławiu). Chyba obok Związku Radzieckiego i Czechosłowacji Polska jest następnym krajem, w którym znak książkowy jest tak chętnie wykonywany przez artystów i równie chętnie kolekcjonowany.

Te wszystkie małe formy graficzne są tym ciekawsze, że właściwie każdy znajduje tu coś dla siebie. Jest to swoisty koncert życzeń. Tradycja miesza się tu z nowoczesnością, świadomy pastisz z dziełem oryginalnym, żart i groteska z humorem i poezją. Wątki tematyczne, skojarzenia, symbolika świadczą o niewyczerpanej inwencji, fantazji i wiedzy ich twórców. Pomysłowość formalna i sprawność warsztatowa, wydają się być nieograniczone. Te kameralne utwory graficzne mogą miłośnikom i znawcom dostarczyć wielu autentycznych wzruszeń.

Dlatego przykrość sprawia sama ekspozycja w Galerii na Wólczańskiej. Grafiki umieszczone na ścianach, za taflami szyb, są po prostu nie do oglądania. Jakby się człowiek nie ustawił, w szybie odbija się wszystko, co jest wokoło z nim samym włącznie, a grafika jest niewidoczna. A szkoda. Nie jest już przecież nowością białe szkło antyodblaskowe i przezroczysty plastik. Skoro używa się tych materiałów na Targach Poznańskich, dlaczego nie można ich użyć przy eksponowaniu dzieł sztuki? Zapewne brak funduszy?

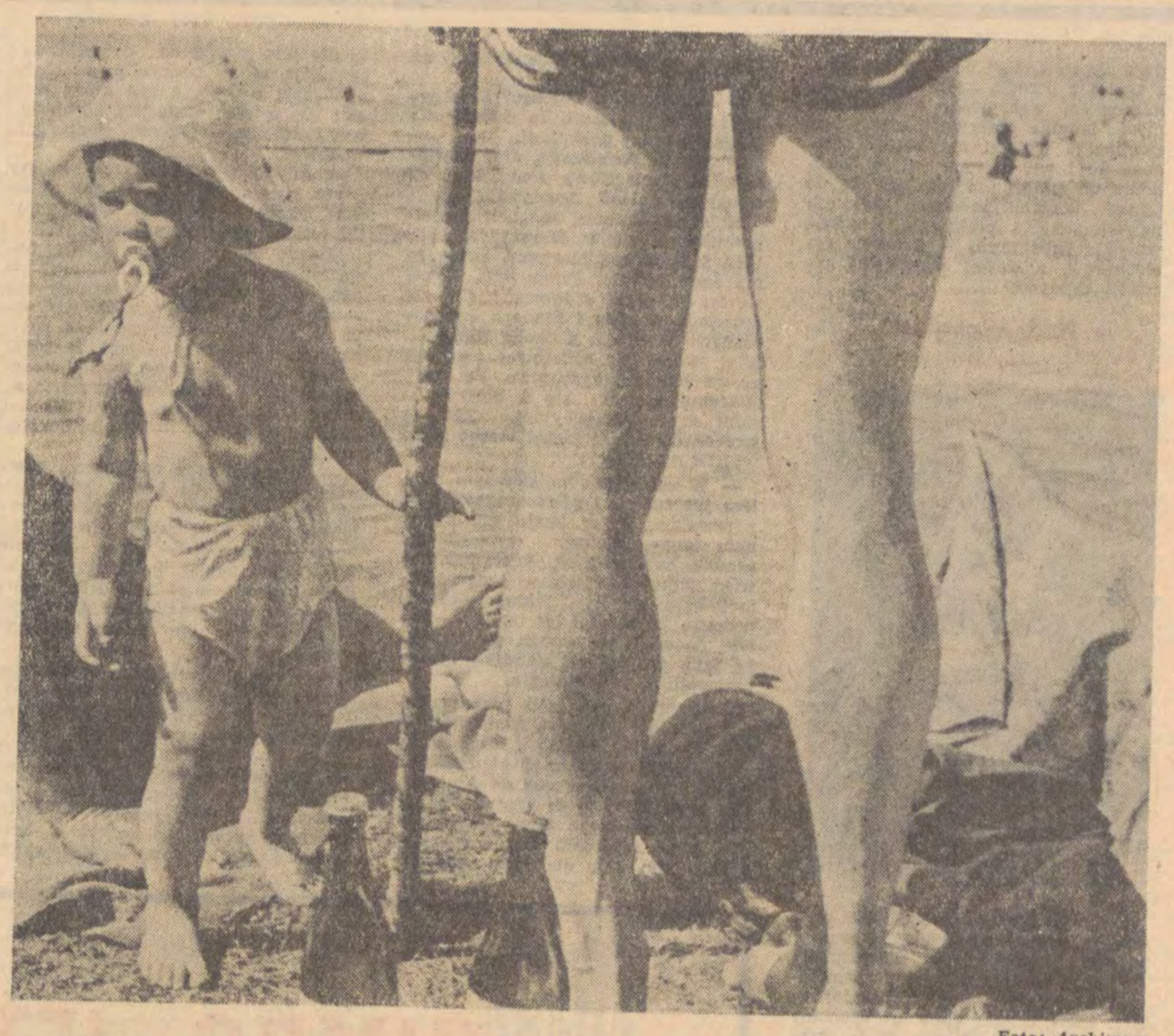

Foto: Archiwum

EUGENIUSZ IWANICKI

NAD ZALEWEM PRAWO NIE OBOWIĄZUJE?

— Parkuj pan wbrew prawu — poinformował mnie właściciel „malucha", kiedy na próżno szukałem miejsca na ciasnym i zatłoczonym parkingu nad Zalewem Sulejowskim w Smardzewicach.

— Jak to, na trawniku?

— Skoro nie ma miejsca gdzie indziej...

W niedzielne przedpołudnie ściągają tu turyści z Łodzi, Piotrkowa, Tomaszowa Mazowieckiego, Pabianic. Nierzadko z kieleckiego. Absurdalnie mikroskopijny parking zapełnia się dość szybko. Na drogach prowadzących do lasu stoją tablice: **„Zakaz wjazdu w ulicę jednokierunkową".** Ale nikt na nie nie zwraca uwagi: wzniecając kurz i drąc murawę setki samochodów stara się znaleźć wolne miejsce do parkowania. I zaraz wyciągane są leżaki stoliki, koce, materace, kuchenki, wiktuały. Wszystko jest blisko: samochód, piasek, woda. Ludzie złaknieni kąpieli walą się w głębię zapominając, że słabo pływają lub, że dotąd nie nauczyli się tej, nie tak znów trudnej, sztuki. Za nimi wskakują psy. Wzbijana tysiącami nóg, perfumowana mydłem i szamponami woda zaczyna mętnieć i upodabniać się do odwaru kartofli w łupinach. Potężne pompy wysysają tę miksturę, tłoczą do rur, rurami posyłają do Łodzi, a my po odkręceniu u siebie w domu kranu pijemy ją jak zbawczy, życiodajny napój.

Przeszło pięć lat temu wybudowano Zalew Sulejowski. Jego eksploatacja została obwarowana ostrymi przepisami: wiadomo, woda dla prawie milionowej metropolii. **Administrator — Okręgowa Dyrekcja Gospodarki Wodnej** odrzuciła prośbę **Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji** w Łodzi o urządzenie w **Smardzewicach** kąpieliska. Teren Zalewu, gdzie dno zostało wyłożone folią ma być idealnie czysty. Kąpieliska można urządzać dopiero za tą strefą. WOSiR otrzymał zezwolenie jedynie na urządzenie ośrodka sportów wodnych.

Takie były plany. Rzeczywistość już w pierwszym roku istnienia Zalewu zadała kłam tym szczytnym założeniom. Ludzie przyjeżdżają kąpać się i topić właśnie w miejscu, gdzie położono folię, natomiast rzadko kto jedzie dalej wzdłuż Zalewu. No bo to i dróg dobrych nie ma i daleko od kiosków z wodą sodową i kiełbaskami z rożna.

— Mamy z tymi turystami urwanie głowy — mówi mi starszy strażnik straży leśnej ANTONI BAJEROWSKI. **— Nie możemy nastarczyć z mandatami. Wjeżdża taki do lasu, ustawia samochód nad samą wodą, rozpala ognisko. Mówi, że odpoczywa po ciężkiej pracy. No, to ja do niego, że niszczy naturalne środowisko, że wzdłuż Zalewu obowiązuje czterysta metrowa strefa ochronna. To on mi na to, że w gazetach pisali, że Zalew ma służyć do wypoczynku dla ludzi pracy, a on jest właśnie takim człowiekiem pracy. Wie pan, oni ścinają takie grube drzewka i nie tną ich na kawałki, tylko podsuwają stopniowo w ogień. A do tego wycinają jałowiec. Dym bardzo bawi dzieci, a dzieciom nie można odmawiać. Ja tu mam spisanych kilkadziesiąt numerów samochodów właścicieli których ukarałem mandatami. Chce pan od początku sezonu?**

— Dużo tego?

— Parę setek.

— To może jedynie tych z ostatnich dni.

— Proszę: XS 98-65, PTA 02-07, KIA 47-03. LDA 37-19, LDH 09-38, PTF 21-33, IW 66-77, LDD 53-46, LDM 51-56, PTF 57-99, PTF 75-00, PTA 67-64, PTF 40-59, PTF 40-99. IF 30-85, PZA 15-83, PTA 23-73, CB 78-95, KID 75-58. Niektórzy płacą i czym prędzej odjeżdżają, inni stawiają się. Jak to w życiu.

— Ustawcie znaki zakazujące wjazdu do lasu.

— Stawiamy. Ale nazajutrz już ich nie ma.

— Kto niszczy?

— Trudno powiedzieć. Najczęściej znajdujemy je w Zalewie.

Przemierzam biegnący łukiem piaszczysty brzeg. Od samego parkingu, od baru „Nad Zalewem" leżą na trawie potłuczone butelki, papiery, puszki po konserwach, plastikowe pojemniki po płynach konserwujących karoserie samochodowe. Niektóre pływają w wodzie. W porze deszczowej wszystko to spłynie do Zalewu. A jest on pojemny: obszar jego wynosi 2.600 ha, a głębokość przy zaporze sięga do 15 m, w pozostałych miejscach od 3 do 8 m. Lecz jeżeli w takim tempie będzie zaśmiecany, to z czasem upodobni się do ścieku. Jedyny ratunek widzę w ogrodzeniu tej części Zalewu, na dnie którego położono folię. Nikt oprócz służby wodnej nie powinien tu przebywać. Skoro jednak Zalew ma służyć za miejsce wypoczynku sobotnio-niedzielnego, winne być wyznaczone i urządzone na jego brzegu kąpieliska z etatowymi ratownikami. Dotąd ratowaniem tonących zajmuje się milicyjna służba wodna (mimo to w 1979 r. już zanotowano trzy utonięcia).

W dniu, w którym przebywałem nad Zalewem, służbę pełnili szef służby wodnej sierżant sztabowy HENRYK LANGE i sierżant GRZEGORZ PIETRZYK. Obaj zmordowani, spoceni, co rusz wypływający na Zalew, penetrujący plaże i brzegi.

— Ludzie są dziwni — mówi sierż. szt. Henryk Lange. — Mówię jednemu by zapiął na dziecku kapok, to on się śmieje. Mam — powiada — kartę żeglarską i wiem co i jak. No dobrze. Ale zrywa się nagły wiatr, „Omega" wywraca się. Widzimy — toną. Ledwo zdążamy. Dzieciak zahaczył się brodą o kapok i tak się utrzymał. Mówię potem do tego żeglarza, że regulamin wcale nie jest taki głupi, skoro każe i przy pogodzie zapinać kapoki. A on płacze, pokazuje mi książeczkę żeglarską, że przepłynął Morze Północne i Śródziemne, a o mało się nie utopił w Zalewie Sulejowskim.

— Co z tego, że ponarzekamy — dodaje sierż. Grzegorz Pietrzyk — **skoro nikt tu nie dba aby wydzielić kąpieliska, ustawić odpowiednie tablice, wydzielić teren na pola namiotowe poza strefą ochronną. Kiedyś WOSiR postawił tablicę zabraniającą kąpieli. Przychodzę nazajutrz, a tu pod nią biwakują młodzi chłopcy, z których część się kąpie.**

— Nie widzicie tablicy?

— Nie.

— Jak to? — pytam i oczom niewierzę. Tablica została dokładnie zakryta wiszącą na niej marynarką.

— Kto to powiesił?

— Ja — odpowiada mi jeden bezczelnie. **— Nie ma szafy, więc...**

— Tam jest znak — mówię — a także informacja, że w tym miejscu kąpiel jest zabroniona.

— Coś podobnego! — udają zdziwionych. **— No, skoro tak, to insza inszość. Mogliśmy się potopić, ale tablica nas uratowała.**

Potem ta tablica także zniknęła.

Wsiadamy do milicyjnej motorówki i płyniemy wzdłuż brzegu. Już z daleka widać stojące nad brzegiem samochody i namioty. Zwracam na to uwagę milicjantów.

— Są na gruntach prywatnych, wolno im.

— Co to za wieś?

— Stara Wieś. Skoro faceci zamelowali się u sołtysa, że u takiego to a takiego rolnika będą biwakować przez tyle a tyle dni, nic im nie można zrobić.

— Więc strefa ochronna praktycznie nie istnieje?

— W tych konkretnych przypadkach, chyba nie.

Płyniemy wzdłuż, wyciągniętych na brzeg łodzi żaglowych. Milicjanci sprawdzają czy łodzie są uwiązane, czy ktoś nie zarzucił kotwicy, bo folia uległaby zniszczeniu. Jest to dzika przystań usytuowana na gruntach prywatnych. Skoro nie można urządzać przystani nad Zalewem dla powstających jak grzyby po deszczu klubach żeglarskich, można wykupić kawałek gruntu od rolnika. Prawo zostaje ominięte, a w uprawianiu sportu nikt nie przeszkodzi.

— Obywatelu! — krzyczy do kogoś będącego w wodzie sierż. szt. Henryk Lange **— Czy wiecie, że w Zalewie nie wolno się kąpać? A wy jeszcze do tego wypływacie tak daleko od brzegu!**

— Już zawracam — odpowiada płynący i daje nura.

— Widzi pan, jak to jest. Gdyby było tu kilkunastu milicjanów i każdy miałby pełną torbę mandatów, to i tak nie bylibyśmy w stanie ukarać tych wszystkich którzy naruszają prawo nad Zalewem.

Pomyślałem, że sierżant nie ma racji. Ukarać należałoby tych, którzy nie zadbali o to, by wypoczynek tu, w Smardzewicach, był nie tylko przyjemny ale i bezpieczny.

Wzmaga się upał. Kto żyw siedzi w wodzie. Ludzie wyskakują na brzeg dla posiłku i zaspokojenia pragnienia. W Smardzewicach nad Zalewem jest wspomniany już bar „Nad Zalewem" proponujący kąpiącym się duży wybór win i niewielki wybór dań: żurek zabielany z kiełbasą — 14 zł, klopsiki w sosie pomidorowym — 20 zł, pulpety w takimże sosie — 24 zł, jajecznica — 14 zł, jaja sadzone — 17 zł. W pobliżu przycupnęły dwa kioski z napojami i kiełbasą z rożna. Jest także kiosk Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej ale zamknięty. Obok przystani prowadzi rożen WŁADYSŁAW KOTOWSKI. Na moje pytanie o zaopatrzenie, tylko rozkłada ręce.

— Zaopatruje mnie WSS w Tomaszowie Mazowieckim. Składam zapotrzebowanie na 3 tys. butelek napojów dziennie, a oni mi dają zaledwie połowę tego. Już koło południa nie mam co sprzedawać. Ludzie nieraz proszą o zwykłą wodę, szczególnie dla dzieci. Albo przydział kiełbasy: miesięcznie mogę otrzymać 250 kg. Co to jest? Ja dziennie sprzedaję 60 kg! Ludzie myślą, że nie chcę sprzedawać, więc kłną, wyzywają, prawie biorą się do bicia jakbym to ja produkował te wszystkie polo-cocty, alpini, toniki czy piwo.

Niedobory w zaopatrzeniu uzupełnia pan Jan. Jest to przedstwiciel zupełnie prywatnej inicjatywy i widać dopiero na dorobku. Wozi na wysłużonym rowerze wór obwarzanków.

— Proszę, jakie bomby! Chodźcie tu, ludzie, do Jana! Taniocha! Za jedyną dychę!

Ludzie kupują.

Foto: Archiwum

— Bierzcie te obwarzany, bierzcie te bomby!

Ktoś, kto kupił, wraca.

— Panie, pies nie chce jeść tych obwarzanków.

— Bo one nie są dla psa. One są dla lepszych gości.

— Ja także nie mogę ich ugryźć.

— Sztuczną szczęką nie ugryzie się, to pewne.

— No, wie pan! — krzyczy ten co kupił obwarzanki. **Mam własne zęby!**

— Ale kiedyś będziesz miał pan sztuczne — mówi pan Jan i idzie dalej wzdłuż brzegu, zachwalając swój pyszny towar.

Nad samym brzegiem rozsiadło się podpite towarzystwo: czterech panów, cztery panie i spora gromadka dzieci. Wkrótce teren wokół nich pokrył się skorupkami po jajkach, przetłuszczonymi papierkami, kawałkami chleba.

— Jeszcześmy tu nie pili — unosi kieliszek pan nazywany Zbyszkiem.

— Nad Zalewem, nie — zapiszczała pani w wyzywającym kostiumie kąpielowym

— Nad Zalewem się zalejem!

— Brawo!

— Maniek, ty nie pij, ty masz dość.

— Pocałuj mnie w h... — odmachnął się pan Maniek i wypił.

Pusta butelka rzucona w stronę wody rozbiła się o pryzmę pozostawionego tu od czasów budowy, betonu.

— Dzieci! — krzyknęła pulchna brunetka, krztusząc się zakąską. **— Uważajcie na szkło!**

Potem panu Mańkowi zrobiło się źle. Puścił pawia na koc. Przyjaciele zerwali się ochoczo i powlekli kolegę do wody

— Rzygaj, Maniuś, rzygaj — zachęcali.

— Nie chodźcie tam, dzieci — wołała pulchna brunetka. — **Pobrudzicie się.**

Pan Maniuś zrobił w sloje przemył twarz i poczłapał do towarzystwa.

— Przepłucz, Maniuś żołądek wódką, to lepsze do lekarstwa.

I pan Maniuś przepłukał. I zagryzł.

Ci, co nie orientują się w zawiłościach administracyjnych, bałagan panujący nad Zalewem zwalają na karb WOSiR. Okazuje się jednak, że WOSiR jest jedynie dzierżawcą przystani sportów wodnych. I nic więcej. Tu można wypożyczać łodzie żaglowe typu „Omega" i „Mak", choć te ostatnie nie są udane szybko się psują i niedoświadczeni żeglarze z reguły topią ster. A to kosztuje. Więc są sprzeczki i kłótnie. W zasadzie łódź żaglową „Mak" może wypożyczyć każdy posiadacz karty pływackiej, choć karta jeszcze nikogo nie nauczyła żeglowania. Często więc, zaraz po wypłynięciu, rejs kończy się wywrotką. Milicjanci pędzą na pomoc. Następują wyjaśnienia, ludzie pisoczą że skoro wypożycza się im taki sprzęt na kartę pływacką, to winien on być tak skonstruowany by się nie przewracał.

Na przystani WOSiR można wypożyczyć ponadto łodzie wiosłowe 4 i 5-osobowe, deski ślizgawki, kajaki, rowery wodne, sprzęt do uprawiania sportu na brzegu do leżakowania.

Czasem są kłopoty z wypożyczającymi, bo nie mając kart pływackich straszą kasjerkę KRYSTYNĘ SOKOŁOWSKĄ, że ją wieczorem napadną żyletkami. Zastępczyni kier. oddziału WOSiR w Smardzewicach ANNA SZYDŁOWSKA cieszy się, że jej pobyt tu dobiega końca bowiem po drugiej stronie Zalewu w Borkach wybudowano już pierwszy JOR (Jednostkę Osadniczo-Rekreacyjną), ogrodzoną mającą 24 domki kempingowe typu „Kampinos II" 2 i 3 osobowe (2 pokoje, umywalnia wc). W lipcu GS uruchomi tam swój bar. Jest już także sklep spożywczy i tzw. mała gastronomia. No i parking na 300 samochodów.

— Od czasu gdy tu jestem — mówi — **a to już szósty rok ustawiłam ponad 30 tablic ostrzegających przed kąpielą w Zalewie, ale to nic nie dało, ludzie tablice niszczą i wrzucają do wody. Gdyby teren ten był nasz, to od dawna zaprowadzilibyśmy tu porządek. A tak, niech pan sam popatrzy, co się tu dzieje! Całe szczęście, że jeszcze w tym sezonie opuszczamy ten brzeg. W Borkach nie dopuścimy by powtórzyło się to, co dzieje się tu na co dzień.**

A dzieje się nie najlepiej. Sądzę, że jeszcze parę lat takiego użytkowania, a Zalew przekształci się w bajoro, jego zaś brzegi w gigantyczny śmietnik. Sprawa wymaga szybkiej interwencji użytkownika Zalewu Sulejowskiego, którym jest Okręgowa Dyrekcja Gospodarki Wodnej. Trzeba zastosować środki drastyczne i zdecydowane. Niech owe 400 metrów strefy ochronnej nie będą jedynie czczym zarządzeniem formalnym i zaczną obowiązywać także właścicieli gruntów położonych nad Zalewem. Łódź chce pić czystą wodę, dlatego już dziś trzeba zadbać o to, by nie stała się ona mieszaniną szamponów do mycia psów i płynów konserwujących samochody. Sądzę, że wydając miliardy na budowę Zalewu nie powinno było zabraknąć kilku milionów na postawienie ogrodzenia dookoła tej części, gdzie dno pokrywa specjalna folia.

A póki co, nad Zalewem w Smardzewicach jest tak, jak to zostało opisane wyżej.

„JUMBO JETEM" Z MISTER KOWALCZYKIEM

Dalszy ciąg ze str. 1

każdy może usiąść gdzie chce. Nawet połowa foteli nie jest zajęta. Stewardessa recytuje rutynowaną formułę powitania, w imieniu kapitana. Najpierw w języku angielskim, a następnie po polsku, chropowato, z wyraźnie obcym akcentem. Informuje, że polecimy na wysokości 10 tys. metrów. Powołując się na międzynarodowe przepisy lotnicze demonstruje korzystanie z aparatów tlenowych, wskazuje rezerwowe wyjścia, sprawdzą czy wszyscy zapięli pasy bezpieczeństwa i położyli na podłodze podręczne bagaże.

Formalnie rzecz biorąc jesteśmy już na terytorium Stanów Zjednoczonych AP. Może to mieć praktyczne skutki jeżeli np. zdarzy się poród na pokładzie samolotu, wówczas noworodek automatycznie otrzyma obywatelstwo USA, niezależnie od przynależności państwowej matki i ojca. Ale jeszcze chyba nikt z tego nie skorzystał. Na pewno „Pan Am" nie zbyłby milczeniem takiej gratki reklamowej. Specjalnie wydawany dla pasażerów miesięcznik „Clipper" podaje, że amerykańskie linie są największym przewoźnikiem lotniczym świata. Codziennie łączą 71 punktów rozsianych na obu półkulach, w 47 krajach sześciu kontynentów. Kolorowe obrazki zapraszają do Monte Carlo, Amsterdamu, Londynu, Madrytu, na Jamajkę i Wyspy Bahama. Wszędzie, oczywiście, samolotami „Pan Am"...

W poczekalni we Frankfurcie

Ledwie mija 1,5 godziny lotu, gdy pojawiają się świetlne napisy: „No Smokin" oraz „Fasten Seat Belts". Lądujemy we Frankfurcie nad Menem. Garstkę pasażerów z Warszawy autobus dowozi do budynku bodaj największego i najnowocześniejszego portu lotniczego w Europie. Szkło i stal. W ogromnych salach sklepy oferują luksusowe towary po cenach wolnych od cła. Prowadzący naszą gromadkę przedstawiciel „Pan Am" nie daje jednak czasu ani na zwiedzanie ani na zakupy. Podążamy do najbliższego chodnika ruchomego. Jedziemy ze sto metrów, aż do skrzyżowania korytarzy. „Przesiadamy" się na chodnik jeszcze dłuższy. Kto chce trzyma się poręczy. Też ruchomej. Prędkość takiej jazdy chyba nie przekracza 5 km/godz.

Rozległa poczekalnia jest przeznaczona tylko dla odlatujących do Nowego Jorku. „Jumbo Jet" zabiera

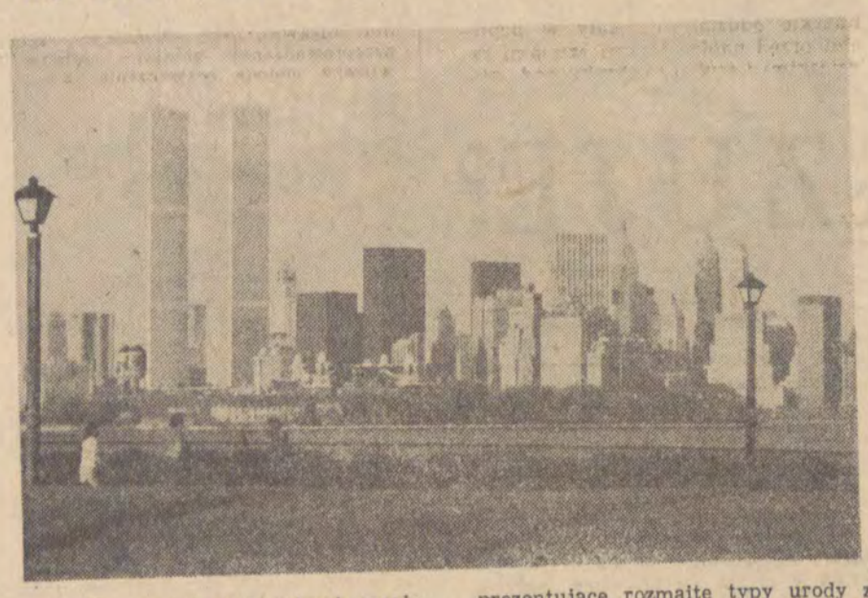

prawie pięciokrotnie więcej pasażerów niż „normalny" odrzutowiec. Co kilka minut wchodzą więc kolejne grupy pasażerów dowożonych z różnych stron świata. Mieszają się stroje i kolory skóry. Na tle rozdekoltowanych przybyszów z Południa i Zachodu wyróżniają nas palta i jesionki. Tu, pierwszego dnia tegorocznej wiosny ani śladu śniegu, 15 st. ciepła, ale na Okęciu było siedem stopni mrozu...

Zapalam „Rarytasa", gdy zbliża się mężczyzna o wyglądzie aż nadto kontrastującym z elegancją otoczenia i czekającym nas lotem luksusowym odrzutowcem za ocean. Lodenowa kurtka wytarta do granic wytrzymałości, na głowie wymięta ni to czapka ni beret, twarz pokryta gęstą szczeciną ciemnego zarostu.

— Może mnie pan poczęstować jednym papierosem? — zagaduje z półuśmiechem odsłaniającym bezzębne dziąsła. Zaciąga się łapczywie. **— Pan do Nowego Jorku?** — pyta najwidoczniej w rewanżu chcąc mnie zająć rozmową. — **Bo ja to jeszcze dalej, do Chicago** — mówi.

Tam stale mieszka. Pracuje jako pomocnik ślusarza w małym warsztacie. Z Polski wyemigrował w 1963 roku. W Kielcach ma matkę, dwie siostry i starszego brata. Raz w roku ich odwiedza.

— Kupiłem teraz osiem zegarków po czterysta zł — powierza mi tajemnicę. **— W Chicago na pewno je sprzedam po pięćdziesiąt dolarów** — dodaje zadowolony, że udało mu się przechytrzyć celników...

Gong oznajmia, że „Jumbo Jet" jest podstawiony i czas zajmować miejsca. Służba bezpieczeństwa każdego „prześwietla" od stóp do głów, z tyłu i z przodu, aparatem przypominającym wykrywacz min. Ceremonię bacznie obserwują agenci po cywilnemu, gotowi natychmiast sięgnąć po broń. Nie ma żartów i nikomu do śmiechu. Zbliżający się do punktu kontroli zawczasu wyjmują na wierzch i posłusznie oddają wszelkie zapalniczki w kształcie rewolwerów, a nawet plastikowe pistolety-zabawki.

Nad Atlantykiem

Osłonięty pomost umożliwia wejście na pokład olbrzyma wprost z budynku portowego. Stewardessy sprawdzają karty wstępu do samolotu i grzecznie segregują pasażerów: first klass, clipper class lub economy class. Można też od razu iść do przytulnego barku, urządzonego na drugim pokładzie, nad pierwszą klasą, i dostępnego dla ogółu podróżnych korzystających z usług „Pan Am". Kieliszeczek „żytniej" — dwa dolary, puszka „Amstel Beer" — półtora dolara. Urocza barmanka przyjmuje wyłącznie waluty wymienialne.

Klasa Ekonomiczna dzieli się na trzy przedziały wyodrębnione pomieszczeniami dla obsługi liczącej jedenaście dziewcząt i jednego chłopaka, który przede wszystkim zajmuje się sprawami technicznymi jak wypożyczanie słuchawek, wymiana kaset z nagraniami w magnetofonach oraz obsługą aparatury wyświetlającej filmy. Stewardessy, reprezentujące rozmaite typy urody z różnych stron świata, niemal bez przerwy wędrują pomiędzy ciągnącymi się trzema szeregami foteli, gotowe na skinienie każdemu śpieszyć z pomocą. Przed podaniem obiadu skrzętnie zapisują, kto ma dietę i woli kurę w rosole zamiast firmowego steku, a kto chce stek bardziej wypieczony, albo bardziej krwisty. Dla niemowląt przygotowują posiłek z mleka w proszku.

— Panie, one tak mówią po polsku jak ten nieszczęsny tłumacz Cartera na lotnisku w Warszawie — siedzący obok współpasażer komentuje płynące z głośników objaśnienia do pokazu kamizelek ratunkowych. **— Przecież po angielsku podkreślali, że użycie tych kamizelek jest, oczywiście, mało prawdopodobne. Nie wiedzą jak to po polsku powiedzieć?... Wiesz pan, że temu tłumaczowi, pożal się Boże, płacili dwieście dolarów dziennie? Dwieście dolarów!...**

Mój sąsiad nie może się też nadziwić, że wiele foteli jest wolnych. Obliczył, że przeciętnie połowa w każdym rzędzie liczącym od ściany do ściany, po dziesięć miejsc, świeci pustkami.

— Jak to im się opłaca?... — zachodzi w głowę ale zdecydowanie odrzuca myśl, że „Pan American" dopłaca do rejsów powietrznych nad oceanem.

Mister Kowalczyk opowiada

Facet z poczekalni we Frankfurcie gdzieś zniknął. Pewnie trafił do innego przedziału. Nie zawarłbym może nowej znajomości, gdyby nie nalepka z napisem „Kurier Polski" na mojej torbie.

— Pan chyba z Chicago? — zapytał i zaraz wyjaśnił, że dobrze zna geografię prasy polonijnej.

— Jestem Kowalczyk, Jan Kowalczyk ze stanu Nowy Jork, poseł do Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Moje wyjaśnienie, że „Kurier Polki" ukazuje się w Warszawie, a do USA lecę po raz pierwszy, wcale go nie rozczarowało. Przeciwnie. Wydał się tym szczerze uradowany. Chętnie opowiada o sobie i Stanach Zjednoczonych. Pochodzi z okolic Radomia. Miał 16 lat, gdy hitlerowcy wywieźli go na roboty przymusowe. Po wyzwoleniu znalazł się w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Zamiast wracać do Polski zaczął starać się o wyjazd do USA.

— W czterdziestym siódmym miałem już żonę i półroczną córeczkę, wiedziałem, że w kraju nie będzie nam łatwo. Niemcy wymordowali prawie całą rodzinę, zdecydowałem więc szukać szczęścia w Ameryce — motywuje wybór, jakiego dokonał przeszło trzydzieści lat temu. **— Pan wie, że w Polsce uważa się Amerykę jako ten raj na ziemi** — dodaje przywołując wspomnienia.

— Pamięta pan taką przedwojenną piosenkę: „To jest Ameryka, to jest słynne U ES A?". Nuciłem ją, gdy wchodziliśmy na pokład statku, który miał zawieźć nas do Ameryki. Do Ameryki! Pan to rozumie?... Ja zrozumiałem zaraz pierwszego dnia, gdy tylko wysadzili nas w Nowym Jorku. Nikt nam nie chciał wynająć mieszkania. Właściciele obawiali się, że małe dziecko będzie płakało i może przeszkadzać innym lokatorom... Kilka dni spędziliśmy w Armii Zbawienia, aż wreszcie udało się wynająć piwnicę w polskiej dzielnicy Greenpoincie. Tak, piwnicę. Nie ogrzewaną...

Przykre doświadczenia zdają się dominować w życiorysie mego sąsiada. Mówi z nie ukrywaną irytacją.

— Gdy teraz opowiadałem o tym wszystkim moim znajomym i przyjaciołom w Polsce — nie chcieli wierzyć. Takie rzeczy w Ameryce? — powątpiewali, bo oni wciąż uważają, że wystarczy dostać się do USA, aby zaraz opływać we wszelki dostatek. Jak pan to napisze w gazecie też pewnie powiedzą: „propaganda komunistyczna"... Ale napisz pan, bo zauważyłem, że ci którzy wracają do Polski z tzw. wizyty w USA, po roku czy dwóch latach, prawdy nie mówią. Utwierdzają wiarę w raj amerykański; pokazują swoje dwa, czy trzy tysiące dolarów, ale nie powiedzą jakim kosztem zarobili te pieniądze...

„Jumbo Jet" pracowicie pokonuje liczącą 6 tys. km trasę z Europy do Ameryki. Na trzech ekranach rozmieszczonych w przedziałach economy class „lecą" filmy. Non stop. Najpierw pełnometrażowy kryminał z Peterem Falkiem czyli por. Colombo, następnie „Grease" z Johnem Travoltą i Olivią Newton-John, a później jakiś sypialniany melodramat. Oglądać mogą wszyscy. Jeśli jednak ktoś chce słyszeć co mówią postacie na ekranie musi wypożyczyć słuchawki.

— Zapamiętaj pan sobie, że w Ameryce niczego darmo nie dają — komentuje p. Kowalczyk, gdy płacę stewardowi dwa dolary za wypożyczenie słuchawek. W lewym oparciu fotela jest dźwięk filmowy, a w prawym gniazdo do odsłuchu muzyki stereofonicznej, odtwarzanej z magnetofonu. Śpiewa Donna Summer tytułową piosenkę ze swego najnowszego albumu „Bad Girls"...

Komfort lotu kłóci się z opowieściami mego sąsiada. Dostrzega tę dysharmonię.

— Sam pan się przekona — mówi **— że Ameryka niejedno ma oblicze, tak wielkich kontrastów nie widać nigdzie na świecie — obok niewyobrażalnego bogactwa zobaczy pan beznadziejną nędzę...**

Siebie plasuje w middle class amerykańskiego społeczeństwa, raczej w jego górnej warstwie. Nie twierdzi, że zmarnował życie osiedlając się w USA, ale też nie przesadza w ocenie sukcesów. Dorobił się własnego domu, jakich tysiące w Ameryce. I to nie jest powód do dumy. Z satysfakcją za to podkreśla, że córka ukończyła college, a syn który urodził się w 1950 roku jest absolwentem Columbia University. Będzie adwokatem.

— Adwokat w Ameryce znaczy „duże pieniądze", prawie tak samo jak „lekarz" — objaśnia, aby wywołać jeszcze silniejsze wrażenie.

Martwi się, że z synem łatwiej porozumieć się po angielsku niż po polsku, a wnuczęta w ogóle nie znają języka swoich przodków. Cierpi na tym reputacja działacza polonijnego. Kilka razy stawał do walki o mandat do Kongresu Polonii Amerykańskiej. Trzy razy przegrywał, dopiero za czwartym razem pokonał swego konkurenta — Józefa Sokołowskiego.

— Wystąpiłem z programem równouprawnienia dla kobiet, aby również mogły zasiadać we władzach polonijnych. I to sprawiło, że w wyborach otrzymałem głosy prawie wszystkich kobiet polskiego pochodzenia ze stanu Nowy Jork! Rozłożyłem na obie łopatki Sokołowskiego — mówi z nie ukrywanym ukontentowaniem.

Przy podwieczorku Jan Kowalczyk oburza się na krążące w USA „polish jockes". — **W biurze, gdzie pracuję nieprzerwanie od 30 lat** — opowiada — **wszyscy mnie znają i szanują, wiedzą, że jestem Polakiem. Pewnego dnia jednak znalazł się dowcipniś, który zabawił się moim kosztem. Wrócił po urlopie i kordialne powitanie podstępnie wykrzystał aby przykleić mi na plecach kartkę z napisem „Made in Poland"... Łatwo odkryłem kto jest autorem tego „dowcipu". Nazajutrz odwzajemniłem się i cały dzień nosił napis: „Made in Germany"...! Sympatia kolegów była po mojej stronie, bo tego Niemca, który we wszystkim przytakuje bossowi, nikt nie lubi...**

Kolejny komunikat oznajmia, że za pół godziny lądujemy w New Yorku, gdzie „Pan Am" posiada najnowocześniejszy w świecie „terminal". Znika monotonny widok zielonkawej toni Atlantyku. Widać stały ląd z miastami i mniejszymi osiedlami. To Kanada. Zgodnie z wytyczonym szlakiem „Jumbo Jet" nadleci na John F. Kennedy International Airport z północy. Bezwzględna dyscyplina jest nieodzownym warunkiem bezpieczeństwa w porcie lotniczym, który częściej niż co dwie minuty przyjmuje bądź odprawia jeden samolot odrzutowy.

Chwile wspomnień

Stewardessy rozdają tzw. karty przybycia i wjazdu. Trzeba wypełnić dziesięć rubryk i po wylądowaniu oddać w Biurze Imigracyjnym. Udający się na stałe do USA muszą też przygotować zdjęcia rentgenowskie. Nadzwyczajna jest ta troska o stan zdrowia osób przybywających do USA. We wniosku o wizę jest np. rubryka: — Czy Pan(i) był chory na gruźlicę albo inną chorobę zakaźną?... Kilka lat temu trzeba było podobno odpowiadać czy nikt w rodzinie nie cierpiał na zaburzenia umysłowe. Zatajenie prawdy grozi odmową wydania wizy. Na zawsze...

Wcale nie jest łatwo uzyskać prawo wjazdu do Stanów Zjednoczonych. Telefonicznie dowiedziałem się, że wizę otrzymam w ciągu jednego dnia.

— Tylko w szczególnych przypadkach załatwianie może trwać do dwóch tygodni — poinformowała mnie urzędniczka w Konsulacie w Warszawie.

Następnego dnia stanąłem przed młodzieńcem, który nogi trzymał na biurku, zdając się bez reszty zatopiony w lekturze płachty „New York Times".

— Przepraszam pana, do kogo mogę się zwrócić w sprawie wizy — zapytałem.

— Jakiej wizy? — odburknął młodzieniec, nie odrywając wzroku od gazety.

— Turystycznej.

— Dziś już nikogo więcej nie przyjmiemy.

Próbowałem cokolwiek wskórać mówiąc, że przyjechałem spoza Warszawy.

— Tu siedemdziesiąt procent ludzi przyjeżdża spoza Warszawy — skwitował moje starania, nawet nie patrząc na mnie.

Kolejka starających się o wizy formuje się wieczorem. Samorzutnie wybierany „dyżurny" dzierży wielki kajet, w którym odnotowuje kolejność. Jeśli jest więcej zgłoszeń niż 90 lojalnie uprzedza, że nie ma szansy dostania się nazajutrz do Konsulatu. — Przyjmują tylko dziewięćdziesiąt osób dziennie — informuje tonem osoby wtajemniczonej. Nie wszyscy w to wierzą. Wiele osób przyjeżdża z daleka, w Warszawie nie mają gdzie się zatrzymać. Biwakują więc na ul. Pięknej.

Rano o godz. 8.30 pracownik Konsulatu wydaje 90 „numerków". Według zeszytu dostarczonego przez „dyżurnego". Pewnie można by przyjmować zapisy i wyznaczać terminy zgłaszania się w sprawach wizowych, nawet za trzy, czy cztery dni, albo znaleźć inne rozwiązanie dla wyeliminowania nieprzystojnych scen. Wygodniej jednak udawać, że musi być tak jak jest, a biwakujących w ogrodzie oglądać z daleka, za pomocą kamer telewizyjnych czujnie wypatrujących, czy nikt nieproszony zanadto nie zbliża się do budynku Konsulatu.

— Jak się państwu coś nie podoba w naszej pracy, proszę złożyć skargę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych — odpowiadają krótko na krytyczne uwagi rozgoryczonego tłumu...

Pomógł mi telefon z „Kuriera Polskiego". Dostałem się „poza kolejnością". Ale nie otrzymam wizy tego samego dnia.

— Musimy dla pana uzyskać potwierdzenie z Departamentu Stanu w Waszyngtonie — informuje urzędniczka przyjmująca moje dokumenty.

— To potrwa tydzień, albo dwa, taki mamy przepis dotyczący członków partii — wyjaśnia i kieruje do kasy, abym wpłacił 500 zł. Za połączenie z Waszyngtonem.

— Czy nie ma wyjątku dla dziennikarzy? — pytam.

— Nie przewidujemy wyjątków — odpowiada.

„Pracownikom Ambasady nie wolno przyjmować dodatkowych opłat, darów lub jakiegokolwiek rodzaju upominków (prezentów) za wykonywane czynności" — czytam niezbyt taktowny anons umieszczony na widocznym miejscu, tylko w języku polskim, czekając tydzień później na wydanie wizy. W ciągu dwóch godzin spędzonych w poczekalni, naliczyłem osiem osób, którym zwrócono paszporty, odmawiając wydania wiz.

Dowiedziałem się jeszcze, że rzeczywisty termin pobytu w USA wyznaczy mi przedstawiciel Biura Imigracyjnego na lotnisku w Nowym Jorku. Jeżeli nie zostanę powiadomiony, że moja obecność w Stanach Zjednoczonych jest... niepożądana, i nie odeślą mnie najbliższym samolotem z powrotem do Europy. Bez podania przyczyn i nie zwracając za bilet. Podobno już tak bywało...

Wspomnienia przerywa wyraźna zmiana w pracy silników. Jednostajny szum czterech motorów odrzutowych jest teraz głośniejszy. Komunikat uspokaja, że to normalny objaw, gdy samolot podchodzi do lądowania. Widać już nowojorskie drapacze. Niesamowite. Wydaje się, że rzeczywiście sięgają nieboskłonu. „Jumbo Jet" dotyka betonu lotniska, kołuje do portu. Komunikat przypomina, że w New Yorku jest godzina 16.15. Przesuwam wskazówki. Sześć godzin różnicy. Tu jeszcze pełnia dnia, a nad Wisłą zaczyna się noc.

Już w Nowym Jorku

Przedstawicielka Biura Imigracyjnego dokładnie ogląda paszporty i wizy. O nic nie pyta. Sprawnie wykonuje swoje obowiązki. — **Poland?** — pyta jakby chciała się upewnić biorąc do ręki mój paszport. — **Moja czotka być Polska** — miłym uśmiechem podkreśla rodzinne koneksje. O pięć dni przedłuża ważność wizy wydanej w Warszawie, choć wcale nie próbowałem wykorzystać słabości okazanej wobec rodaka jej ciotki. Termin mego powrotu do Polski z góry przesądza bilet lotniczy. Ważność wygasa po dwóch miesiącach.

Celnik pyta: — **Kielbasa, no?... Kyszka, no? O, key!** — woła wierząc

mi na słowo i przepuszcza przez ostatnią przeszkodę w podróży do USA.

— Panie, niech pana ręka boska broni wsiadać do taksówki polskim zwyczajem, obok kierowcy — przestrzega mnie Jan Kowalczyk. — **Raz się zapomniałem. Wiesz pan co się stało? Taxi-driver natychmiast podniósł ręce do góry i wykrztusił: — W tym pudełku blaszanym są wszystkie moje pieniądze... On myślał, że ja go chcę obrabować! Tu wsiada się do taksówki tylko na tylne siedzenie, szybą oddzielone od szofera...**

KONRAD TUROWSKI

Foto: Autor

Wiosną 1945 roku, w decydującym etapie drugiej wojny światowej, premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill był zdecydowany użyć resztek armii Wehrmachtu przeciwko sojusznikowi w antyhitlerowskiej koalicji – Związkowi Radzieckiemu. W swoich pamiętnikach z II wojny światowej W. Churchill pominął te zamierzenia milczeniem, a angielscy historycy, z małymi wyjątkami, poszli w jego ślady. Dlatego też książka amerykańskiego historyka A. Smitha, w której poświęca on wiele miejsca tym planom Churchilla wzbudziła na Zachodzie ogromną sensację.

Fragmenty tej książki, zatytułowanej: **„Niemiecka armia Churchilla"**, omówienia i komentarze, zamieszczamy w dwóch kolejnych odcinkach.

„TAJNA ARMIA" WINSTONA CHURCHILLA

I.

„... Whisky lała się strumieniami. W mieszkaniu Winstona Churchilla, który tego dnia obchodził 80 rocznicę urodzin — był listopad 1954 roku — goście wznosili huczne toasty. I wtedy zdarzyło się: Churchill wygadał się i zdradził tajemnicę państwową. Z początku rozmowa była bardzo abstrakcyjna". „W polityce międzynarodowej zdarza się — perorował gospodarz domu — że czas i okoliczności zrywają zawarte sojusze i to co dziesięć lat temu było nie do pomyślenia dziś staje się realne". I Churchill przytoczył konkretny przykład: jeszcze dziesięć lat temu, wiosną 1945 roku, zrozumiał, że tylko przy pomocy zremilitaryzowanych Niemiec można przyhamować „sowiecką ekspansję w Europie", ale nie posłuchano go wtedy.

„Tymczasem — kontynuował Churchill — istniało niebezpieczeństwo, że armia radziecka, gromiąc resztki Wehrmachtu Adolfa Hitlera zajmie całą środkową i północną Europę" Należało temu przeszkodzić za wszelką cenę i dlatego marszałek Montgomery, ówczesny dowódca armii brytyjskiej w powalonych Niemczech, otrzymał od niego polecenie podjęcia kroków zaradczych.

„Jeszcze przed zakończeniem wojny, kiedy Niemcy setkami tysięcy szli do niewoli, wysłałem do Montgomery'ego telegram z poleceniem skrupulatnego zbierania i gromadzenia niemieckiej broni i techniki wojskowej, żeby można ją było rozdać oddziałom niemieckim z którymi, być może, będziemy współdziałać jeśli sowiecka ofensywa będzie się niepohamowanie rozwijać!"

Te rewelacje Churchilla wywołały szok wśród obecnych na przyjęciu gości i przeniknęły na zewnątrz. Przy pomocy niemieckich żołnierzy prowadzić wojnę przeciwko ZSRR, swemu sojusznikowi w drugiej wojnie światowej! Nie! — tego było już za wiele nawet dla Anglików w okresie zimnej wojny. Burzliwie zareagowały prasa i radio, zawrzało w parlamencie. Ogólne oburzenie było tak ogromne, że Churchill próbował ostrożnie zmiękczyć efekt swoich wynurzeń. Udał więc, że zdumiewa go taka reakcja społeczeństwa i oświadczył, że treść jego telegramu do Montgomery'ego i telegram o analogicznej treści do ówczesnego naczelnego dowódcy alianckich ekspedycyjnych sił zbrojnych w Europie D. Eisenhowera zostały już dawno opublikowane: pierwszy w szóstym tomie jego książki „Druga wojna światowa", a drugi — w pamiętnikach Eisenhowera.

Zbadano sprawę i okazało się, że jest to po prostu nieprawda. Nic nowego nie wniosły także poszukiwania w państwowych archiwach brytyjskich. Wtedy Churchill powiedział, że chyba się pomylił...

A może to wszystko było tylko płodem wyobraźni osiemdziesięcioletniego starca, albo może zawiniła temu wypita whisky? Nic podobnego. Montgomery doskonale sobie przypomina: „otrzymałem taki telegram". Znalazł się także jeszcze jeden świadek — były kapitan brytyjskiego wywiadu, który rozszyfrował telegram o takiej samej treści, skierowany do dowódcy wojsk brytyjskich we Włoszech, marszałaka Alexandra

Wspomniany już na wstępie Arthur Smith ukazał ten fakt we właściwym świetle, wysupłując go z gmatwaniny, w której celowo pogrążył go Churchill. Smith jest profesorem Uniwersytetu Kalifornijskiego, ekspertem w dziedzinie problemów rozbrojenia i znawcą najnowszej historii Niemiec. Przez wiele lat studiował dokumenty archiwów państwowych i prywatnych oraz akta służb wywiadu i kontrwywiadu, żeby stwierdzić, jaki cel przyświecał zakulisowej polityce Churchilla w 1945 roku.

Co prawda nie udało mu się odnaleźć telegramu Churchilla, ale za to wykrył kablogram o analogicznej treści, który premier brytyjski rozesłał do angielskich dowódców wojskowych. Atoli o wiele ważniejsza okazała się inna zdobycz Amerykanina. Smith dokonał mianowicie nader interesującego odkrycia — znalazł dokumenty, obok których obojętnie przeszli jego koledzy historycy: na terytorium Niemiec istniała tajna armia niemiecka! Stąd tytuł książki Smitha: „Niemiecka armia Churchilla", w której autor pomieścił sensacyjne wyniki swoich długoletnich poszukiwań.

Smith udowadnia, iż w brytyjskiej strefie okupacyjnej były hitlerowski Wehrmacht istniał jeszcze przez wiele miesięcy po zakończeniu wojny, aż do 1946 roku: trzy miliony niemieckich żołnierzy uzbrojonych częściowo w lekką broń, pod dowództwem własnych generałów Brytyjscy inspektorzy kontrolowali te oddziały i utrzymywali w pogotowiu bojowym, żeby móc je rzucić przeciwko swemu byłemu radzieckiemu sojusznikowi. Historyk Smith uważa to za dowód, że Churchill był zdecydowany zapewnić sobie pomoc Niemców, „niezależnie od tego czy są oni nazistami, czy też nie", w wojnie przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Plan ten można było urzeczywistnić tylko w tym wypadku, jeśliby angielsko-amerykańskim wojskom nacierającym od zachodu i południa udało się zawrzeć separatystyczny rozejm z przeciwnikiem przed tym, nim armia radziecka osiągnie swoje cele operacyjne w Niemczech. Ale międzysojusznicze porozumienie zabraniało takich rozejmów. Jeszcze w 1943 roku, na konferencji w Casablance, Churchill i amerykański prezydent Franklin Roosevelt zobowiązali się do podpisania „tylko bezwarunkowej kapitulacji niemieckiego Wehrmachtu". Ponadto zapewniono Związek Radziecki, że mocarstwa zachodnie nie pójdą na rozejm, jeśli nie obejmie on wszystkich frontów lub, w ostateczności, nie otrzymają na to aprobaty ZSRR.

Churchill liczył jednak na to, że chaos i zamieszanie ostatnich dni wojny pozwolą mu się uwolnić od krępujących go zobowiązań, wynikających z międzysojuszniczych porozumień w sprawie Niemiec. Im bardziej przybliżał się koniec wojny, tym aktywniej dążyli niektórzy wojskowi na Zachodzie do rozwiązania problemu częściowej kapitulacji po swojej myśli. Do tej kategorii wojskowych należeli, m. in., dwaj brytyjscy marszałkowie: Alexander i Montgomery, którzy całkowicie podzielali antyradzieckie poglądy Churchilla. Zajmowali oni kluczowe stanowiska w dowództwie ekspedycyjnych sił zachodnich sojuszników: Alexander dowodził 15-tą grupą armii, działającą na terytorium Włoch, a Montgomery — 21-szą grupą armii, operującą na zachodzie i północy Niemiec.

Aleksander przedłożył projekt separatystycznego rozejmu, który przewidywał kapitulację miliona niemieckich żołnierzy we Włoszech. Jak wiadomo, w lutym 1945 roku hitlerowski generał Carl Wolf — za pośrednictwem tajnych służb w Szwajcarii — przekazał Alexandrowi informację, że dowództwo Wehrmachtu we Włoszech jest zainteresowane w zakończeniu działań wojennych. Propozycja ta była tak kusząca, że nawet Amerykanie zapomnieli na moment o swoich dobrych intencjach z Casablanki i zgodzili się na spotkanie anglo-amerykańskiego dowództwa z Wolfem. Związek Radziecki odsunięto od tych rozmów. Stalin był oburzony i w liście do Roosevelta oskarżył go, iż w odpowiedzi na kapitulację Niemców, Anglicy i Amerykanie obiecali im złagodzenie warunków rozejmu. Podkreślał w liście, że „inicjatywa w tej całej historii rozmów w Bernie wyszła od Anglików".

Powodzenie separatystycznych rozmów pobudziło Churchilla do przeprowadzenia analogicznej operacji w sferze działania wojsk Montgomery'ego. Moment był sprzyjający: niemieckie oddziały uciekały w popłochu przed napierającymi armiami radzieckimi i szukały ratunku pod opiekuńczymi skrzydłami pancernych i pieszych związków armii Montgomery'ego (Dane, że wojska hitlerowskie poddawały się bez oporu Amerykanom i Anglikom potwierdzają znikome straty wojsk zachodnich sojuszników w operacjach wojskowych. Np. od 23 kwietnia 45 roku do końca wojny, I-sza amerykańska armia gen. Pattona straciła 3 żołnierzy, biorąc do niewoli 9 tys. niemieckich żołnierzy i oficerów — red). Montgomery, który do końca kwietnia 45 roku prowadził ofensywę bardzo niemrawo otrzymał od Churchilla polecenie możliwie najszybszego parcia do przodu, żeby opanować Danię, i Szlezwik-Holsztyn przed tym, nim wkroczą tam wojska radzieckie. Ten angielski dowódca wojskowy przestał już uważać Niemców za wrogów. Dla niego, jak napisał później: „zbliżający się Rosjanie byli bardziej niebezpieczni, niż rozgromione niemieckie armie*)

(c.d.n.)

Tłum.: J. CZECH

***) Według tyg. „Za Rubieżom"**

Francuzi są zdumiewająco obojętni wobec własnej ogromnej artystycznej spuścizny — zauważył sto lat temu amerykański pisarz, Henry Adams. Miał on na myśli znikomą ilość badań poświęconych słynnym francuskim witrażom, ale dziś tę opinię umacniają o wiele bardziej ważkie fakty.

50 tys. metrów kwadratowych — tyle wynosi ogólna powierzchnia francuskich witraży, lub „ścian światła" — jak powszechnie nazywa się we Francji te arcydzieła z kolorowego szkła, zdobiące starożytne kościoły, zamki, pałace. Witraży jest we Francji więcej niż we wszystkich krajach świata razem wziętych. I niemal połowie tych wspaniałych witraży grozi dziś zagłada. Ulegają zniszczeniu pod wpływem deszczów, na które są szczególnie uczulone średniowieczne kolorowe szkła zawierające sole potasu, pod wpływem zanieczyszczeń otaczającego środowiska i wreszcie uderzeniowych fal powietrza, powstających przy przekraczaniu bariery dźwięku przez samoloty odrzutowe.

Z PRASY

Problem polega na tym, żeby ocalić pozostałe witraże nie naruszając patyny — tej „błonki minionych stuleci" — jak mówią o niej znawcy sztuki. Jednak stosowane dziś sposoby restauracji wywołują liczne protesty. Na przykład w marcu 1977 roku specjaliści Urzędu Zabytków Historycznych odtworzyli trzy witraże zachodniej fasady słynnej katedry w Chartres (szkody w katedrze ujawniono już w latach 40-tych ale dopiero w 73 roku rozpoczęto ich usuwanie). W tym samym czasie powstało Towarzystwo Ochrony Witraży Francji. Jego organizator, artysta-malarz, Alfred Mannesier, twierdzi że „odrestaurowane okna już nie oddają gry świateł, że są martwe i straciły poprzednie czerwone i niebieskie kolory".

Mannesierowi zaczęto zarzucać zbytni sentymentalizm, ale okazało się rychło, iż sprawa jest poważna i do Towarzystwa weszli wkrótce wybitni ludzie z Francji i z innych krajów, a w ich liczbie wdowa po prezydencie Pompidou, a nawet były osobisty sekretarz zmarłego papieża Pawła VI.

Towarzystwo oskarża Urząd Zabytków Historycznych o sfałszowanie fotografii wykonanych przed i po restauracji witraży w katedrze w Chartres. Mówi się, że pierwsze zdjęcia wykonano przy małym wytrzymaniu migawki, żeby zwiększyć efekt przeprowadzanej później restauracji witraży metodą oczyszczania specjalnym roztworem i następnie pokrycia syntetyczną smołą poliuretanową, zwaną wiskrylem.

Na polecenie sekretarza stanu do spraw kultury stosowanie tej petrochemicznej metody zostało zakazane czasowo do końca 1978 roku, ale grupa Mannesiera nie zdołała do tego czasu zaproponować mniej niebezpiecznej metody odnawiania i prace w Chartres trwają nadal.

Konieczność prowadzenia ich jest bezsporna, ale również bezsporny i niebezpieczny jest wyraźnie eksperymentalny charakter tej restauracji kolorowych witraży. Mimo to stosuje się tę metodę nadal, odnawiając dalsze witraże w Chartres, chociaż nie są jeszcze znane wyniki próbnego remontu tych okien, które, jak utrzymują znawcy, są marzeniem wszystkich entuzjastów sztuki średniowiecza, szczytem mistrzostwa, arcydziełem natchnienia.

„International Herald Tribune" — Paryż

KRONIKA TYGODNIA

Nie lada sensacją stała się w **Stanach Zjednoczonych zbiorowa rezygnacja 15 ministrów i członków najwyższych instytucji państwowych ze swych stanowisk.** Komunikat Białego Domu wyjaśnia, że decyzja ta „ma na celu umożliwienie prezydentowi dobranie sobie takiego zespołu współpracowników, którzy umożliwią pełne wykonanie zadań określonych w ostatnich przemówieniach J. Cartera, a dotyczących głównie polityki gospodarczej i energetycznej". Zanim wyjaśnimy istotę sprawy — dodajmy, że na dotychczasowych stanowiskach pozostali odpowiedzialni za politykę zagraniczną, co zdaniem obserwatorów **ma świadczyć o utrzymaniu obecnego kursu** i jest formą poparcia dla układu SALT II i zasad pokojowego współistnienia.

Przed ową rezygnacją prez. Carter wygłosił ośmiostronicowe przemówienie, w którym stwierdził, iż wkradł się w życie Stanów Zjednoczonych kryzys zaufania, grożący „zniszczeniem społecznej i politycznej struktury Ameryki" i że utracono ufność w przyszłość. Przywrócenie tej wiary jest teraz najważniejszym zadaniem. **Pierwszym krokiem na tej drodze ma być rozwiązanie problemu energetycznego** m. in. po to, aby miliony Amerykanów bezczynnie nie spędzało godzin czekając na benzynę. I tu Carter zapowiedział szereg drastycznych posunięć, z których **podstawowe sprowadza się do ograniczenia importu ropy do poziomu 1977 roku.** „Nie dopuszczę, aby do naszego kraju wpłynęła chociaż jedna kropla zagranicznej ropy naftowej więcej". Zapowiedział też rozwinięcie własnych źródeł paliwa — z węgla, łupków, produktów rolnych, wykorzystywanie energii słonecznej, produkcję mniejszych samochodów, zużywających mniej benzyny, rozwój publicznego transportu, ograniczenie przejazdów samochodami, a w razie konieczności racjonowanie paliwa. „Oszczędzanie energii — powiedział — jest czymś więcej niż aktem zdrowego rozsądku, jest aktem patriotyzmu".

Nie musimy dodawać, jak szerokim echem odbiło się to przemówienie w Stanach Zjednoczonych i krajach sojuszniczych. Oczywiście **najmocniej zareagowały koncerny naftowe,** które mają być wysoko dodatkowo opodatkowane, a pochodzące stąd środki pieniężne będą przeznaczone na finansowanie badań i inwestycji innych źródeł energii.

W celu realizacji takiego właśnie programu **ma być przeorganizowany rząd.**

Innym wydarzeniem minionego tygodnia jest **definitywny upadek dyktatury Somozy, opanowanie stolicy Nikaragui przez siły patriotyczne i przejęcie władzy przez rząd Odnowy Narodowej.**

Pisaliśmy na tym miejscu o trwających przez pięć tygodni walkach między Gwardią Narodową Somozy a siłami Frontu Wyzwolenia Narodowego im. Sandino, o zbrodniach dyktatora dokonywanych na ludności cywilnej i zabiegach Stanów Zjednoczonych, aby powołać rząd umiarkowany — „uspokojenia narodowego". Ten zamiar, mający nie dopuścić do objęcia władzy przez gabinet Odnowy Narodowej, nie powiódł się, nadzwyczajna sesja Organizacji Państw Amerykańskich odrzuciła koncepcje Waszyngtonu i wydarzenia potoczyły się inaczej — nie po myśli USA.

Jak informują agencje, głównym zadaniem rządu Odnowy Narodowej będzie teraz opracowanie planu zaopatrzenia ludności w żywność, zapewnienie mieszkań dla setek tysięcy mieszkańców, odbudowa zniszczonych miast, gdzie wiele ludzi znajduje się bez dachu nad głową.

Sytuacja w Nikaragui jest trudna, ale naród ma teraz pomyślną perspektywę, jeśli oczywiście (a nie piszemy o tym bezpodstawnie) Stany Zjednoczone w taki lub inny sposób nie zechcą ingerować.

Do przeglądu wydarzeń ostatnich dni trzeba też włączyć **wizytę w Polsce francuskiego ministra Spraw Zagranicznych — Jeana Francois Poncet.** W ogłoszonym po niej wspólnym komunikacie stwierdza się, że szczególną uwagę w czasie warszawskich rozmów zwrócono na współpracę gospodarczą i wymianę handlową. „Z obu stron — czytamy tamże — podkreślona zostanie konieczność nadania... stosunkom nowego, energicznego impulsu, zmierzającego do osiągnięcia dynamizmu i rozmachu, oczekiwanego przez obydwie strony".

Ale omawiano również różne aspekty sytuacji międzynarodowej. **W centrum znalazła się realizacja postanowień Aktu Końcowego KBWE.** Ministrowie wyrazili nadzieję, że przyszłoroczne spotkanie w Madrycie przedstawicieli państw-sygnatariuszy Aktu pozwoli odnotować postęp na tej drodze i będzie ważnym etapem umocnienia bezpieczeństwa i rozwoju współpracy w Europie. Podkreślono także znaczenie rozbrojenia, wyrażając zaniepokojenie koncentracją zbrojeń na naszym kontynencie. Wprowadzenie efektywnych środków ma ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa i utrwalenia odprężenia. Dlatego Polska i Francja będą zwiększały wysiłki w celu osiągnięcia powszechnego i całkowitego, pod międzynarodową kontrolą, rozbrojenia.

W. SŁAWSKI

Tadeusz Papier

SPOWIEDŹ WIKTORII

Wiktoria opowiada, że jej dom był w czasie wojny schronieniem dla wielu ludzi. „Trudno zliczyć, ilu uchodźców znalazło u nas odpoczynek, ugasiło pragnienie, zaspokoiło głód. We wrześniu trzydziestego dziewiątego roku Jasiu każdego dnia, dopóki trwała ucieczka, wynosił przed dom wiadro przegotowanej wody, pomieszanej z winnym octem, aby miała smak orzeźwiający, stawiał kiszone ogórki, jabłka, chleb. Kto chciał, jadł, pił, i szedł dalej. Żałość było patrzeć na tych ludzi, starych, młodych i dzieci, jak z tobołkami, plecakami, walizkami, pieszo lub furmankami udawali się na wschód. Od nas poszli tylko młodzi. Jan Antoniego i Władek Chmielnicki byli w wojsku. Jan był podporucznikiem kawalerii. Odznaczył się, otrzymał Krzyż Walecznych. Przebył całą wojnę w obozie. Wrócił do wsi dopiero po wyzwoleniu. Sprawdziła się przepowiednia Tomasza, że Jan zostanie oficerem. To był chłopak jak malowanie. Wysoki, zgrabny, sprężysty. Miał głos podobny do głosu Antoniego. Mówił głośno, basem. Przed wojną, kiedy Jan przyjeżdżał na urlop, fechtowali się nieraz z Andrzejem, który także był kawalerzystą. Widowisko było nie byle jakie, bo obydwaj umieli robić szablami. Antoni aż wąsy podkręcał, taki był zadowolony z syna. Szkoda, że Tomasz tego nie widzi, mówił. Gdyby takich chłopaków miał Dembiński, powstanie by nie upadło! Ale wrzesień skończył się niedobrze, wątpił Andrzej. Antoni odparł: To dopiero przygrywka. Zobaczymy, co będzie dalej. Hitler musi przegrać. Nie wygra wojny z całym światem".

Droga Władka była bardziej skomplikowana. Najpierw przebywał w Związku Radzieckim, potem z armią Andersa przeszedł na Wschód. Bił się pod Monte Casino. Nie wrócił do kraju. „Nie wiem dlaczego — mówi Wiktoria — może zawrócili mu w głowie jak innym? Ożenił się z jakąś Holenderką. Osiadł w Kanadzie. Dorobił się tam majątku. Dopiero w dwadzieścia lat po wojnie odwiedził kraj. Chmielnicki już nie żył. Chmielnicka doczekała się chwili, kiedy mogła syna uściskać. Mówiła, że rozumie chorobę Woźniaczki. Człowiek może zgłupieć od boleści, kiedy lata mijają, a dziecko nie wraca".

„Z naszych znajomych — mówi Wiktoria — poszli na tę wojnę także drugi syn Antoniego, Heniek, Zenek od pisarza, jego młodszy brat Kazik i Marian. Wszyscy mieli karty niebieskie, więc nie zostali w pierwszej kolejności powołani. Ale oni sami poszli szukać wojska. Znaleźli go dopiero w Chełmie. Otrzymali mundury i karabiny. W październiku wrócił Zenek, Kazik i Marian. Heniek dostał się do niewoli. Wrócił dopiero po roku. Zachorował w obozie i Antoniemu udało się go wykupić. Z niewoli uciekł Jaś Chełnica, kolega Zenka i Henia. Jaś pochodził z sąsiedniej wsi. Jego ojciec miał siedem hektarów pola. Jaś był wysoki, przystojny, włosy mu się lekko kręciły. Panny oglądały się za nim. Mówią, że był związany z siostrą Zenka Maryśką. Był także oficerem zawodowym, służył w piechocie. Jaś uciekł w przebraniu z obozu w Ostrowcu, gdzie Niemcy trzymali żołnierzy. Ubranie dostarczyła mu jedna zakonnica, która przywoziła żywność dla żołnierzy. Niemcy jeszcze nie tak surowo pilnowali naszych. Jaś siadł na wozie, wziął lejce i wyjechał razem z zakonnicą".

Można całą księgę zapisać, gdyby wymienić wszystkich ludzi, którzy przewinęli się przez dom Wiktorii. Czasami w nocy zatrzymała się jakaś grupa partyzancka. Odbywało się to przy wielkiej ostrożności. Dom, położony przy skraju zalesionych wąwozów, które ciągnęły się przez wiele kilometrów, sprzyjał konspiracji. Rano tylko któryś z sąsiadów pytał: „W nocy przechodzili nasi. Widzieliście ich?". Andrzej wzruszał ramionami. „Nikogo nie widziałem. Co wy mówicie?". „Lepiej było wtedy nie widzieć i nie słyszeć — mówi Wiktoria. — Ilu było takich, o których człowiek rzeczywiście nic nie wiedział. Przyszedł wieczorem, zmęczony, poprosił o nocleg, zaprowadzało się go do stodoły na siano, rano już go nie było".

W czasie ofensywy radzieckiej znad Sandomierza, kiedy został utworzony przyczółek, we wsi znaleźli się początkowo radzieccy żołnierze. Były to tylko patrole. Okolica naraz stała się wolna. W promieniu dziesięciu kilometrów nie było Niemca. W lesie była koncentracja AK i Bch. „Znaleźli się tam nasi chłopcy. Marian oprowadzał Andrzeja i Antoniego i pokazywał im broń. Były karabiny maszynowe niemieckie, radzieckie, angielskie. No to nareszcie koniec wojny, mówił Antoni". W kilka dni później patrole radzieckie odeszły. Od zachodu przyszli znowu Niemcy. „Szli wielką potęgą — mówi Wiktoria. — Strach było patrzeć, jak drogą do naszej wsi toczyły się czołgi, samochody, wielkie działa. Jedną armatę ustawili za naszą stodołą. Strzelali z niej gdzieś w kierunku Wisły. Z naszego pola było widać ognie i dymy. Paliły się wsie. Byliśmy na linii frontowej. To była dywizja esesowska. Pamiętam takie spotkanie. Wysoki oficer kazał nam się zebrać w pokoju i zadał pytanie: dlaczego nie uciekliście przed bolszewikami? Nikt na razie nie potrafił na to pytanie odpowiedzieć. Człowiek po prostu zgłupiał. Oficer siedział za stołem i patrzał na nas z góry. Miał taką minę jak jaśnie pan, kiedy był gniewny, powiedziała potem Woźniaczka, która wtedy znalazła się u nas. Przecie nie uciekliśmy przed wami, wyrwało się nagle Jasiowi. Tłumacz powtórzył te słowa oficerowi. Ten wstał i podszedł do Jasia. Jaś patrzał mu prosto w oczy. Oficer machnął ręką. Wynosić się, powiedział.

W kilkanaście dni potem esesowcy odeszli i przyszli inni. Zdawało się, że są lepsi. Chyba to była rezerwa, bo trafiało się dużo starych. Musiałyśmy z Jagusią chodzić codziennie do kuchni polowej i obierać ziemniaki. Komendant nazywał się Jaschke. Pewnej nocy zbudził Zenka i kazał mu iść ze sobą do stodoły. Zapytał, ile ludzi przebywa u nas. Zenek odpowiedział, że trzydzieści. Bo istotnie w tych dniach gościliśmy mniej więcej tyle osób. Wszyscy ze wsi i z miasteczek, które kazali im opuścić. Po tyle samo mniej więcej było u Antoniego i Chmielnickiego. Oddawaliśmy im wszystko, co mieliśmy. Inaczej nie można było. Taki sam los mógł nas czekać za kilka dni. Jaschke chodził z latarką i świecił każdemu w oczy. Rachunek się sprawdził. Ludzi było dokładnie trzydziestu. Rano Jaschke powiedział do Andrzeja łamanym polsko-ruskim językiem, żeby młodych usunąć, bo będą ich zabierać na roboty. Nie wiem, co nim powodowało. Może to był rzeczywiście dobry człowiek? O ile dobry może się uchować w złym mundurze. Tomasz nieraz mówił, jak trudno jest zachować swoją ludzkość, kiedy warunki są nieprzyjazne. Rozmaitymi szykanami można złamać najszlachetniejszego człowieka, uczynić z niego szmatę. Nie sztuka być dobrym w sprzyjających okolicznościach, mówił Tomasz, najgorsza jest ta chwila, kiedy człowiek przestaje być sobą. A może tej chwili już się nie przeżywa? Wysłaliśmy Jagusię, Zenka i Ryśka do Feliksa, wujka Zenka.

W styczniu przyszło wyzwolenie. To się tak prosto dzisiaj mówi „wyzwolenie", a co ono oznacza, tego nikt nie wie, kto nie przeżył. Człowiek budzi się rano i uświadamia sobie, że nic mu nie grozi. Może iść do sąsiada, do innej wsi, do miasta, zasiedzieć się i wrócić, kiedy mu się podoba. Nikt go nie zaczepi, nie zaaresztuje. I te słowa nie oddają wszystkiego. Nie ma wtedy grozy, która jest w człowieku i poza człowiekiem, nie ma upokorzenia i lęku. Chyba te uczucia są najważniejsze. Zostaje jednak pamięć.

Kiedy artyleria zaczęła strzelać, byliśmy wszyscy w domu. Codziennie strzelano, ale to, co teraz nastąpiło, przeszło wyobrażenie. Radzieccy (Woźniaczka mówiła „ruscy") walili ze wszystkich dział. Pociski ścinały drzewa. Odłamki szrapneli biły w dom, stodołę, ogród. Jeszcze dzisiaj po trzydziestu pięciu latach ludzie oglądają drewniane drzwi do wozówki, które pamiętają czasy hrabiego, całe pokryte ranami. To są zabytkowe drzwi, powtarza mi Zenek. Wszyscy schronili się we dworze u Antoniego. Dwór był zbudowany z kamienia, ściany miał grube, fundamenty wpuszczone głęboko w ziemię. Żaden pocisk nie przebije tych murów, mówił Antoni. To są ostatnie strzały armatnie, jakie słyszymy, mówił dalej. Pamiętacie te zbliżające się huki we wrześniu? Burza się przewaliła, zawróciła i odchodzi. Koniec Hitlera!

Spostrzegłam naraz — powiada Wiktoria — że nie ma z nami babki Eugenii. Gdzie babka? — krzyknęłam. Chyba została w domu — rzekł Andrzej. Nie mogłeś jej zabrać? — zawołałam. A ty? Gdzie miałaś oczy? — odparł Andrzej. Poleciałam przez ogród do naszego domu. Niebo nade mną huczało. Matka leżała w łóżku. Myślałam, że mnie tu zostawicie — powiedziała. Wzięłam ją na plecy i przeniosłam do dworu. Nie wiem, czemu przypisać, że w nas nie trafiło.

Tę drogę, którą przeszłam z matką na plecach, pamiętam do dziś. Tyle lat upłynęło, a wydaje mi się, że to było wczoraj. Ale co to jest dzisiaj? Dla starych ludzi dzisiaj to jest nasze wczoraj i przedwczoraj. Może te wszystkie wydarzenia i ludzie, których już nie ma, są tylko snem? Można to wszystko przypominać, jak się przypomina sny, a przecież niektóre sny były tak rzeczywiste. Dnie tylko dzisiaj są krótsze niż dawniej. Słońce, które świeciło w południe, bardzo powoli schodziło ku zachodowi. Można było wiele zrobić w ciągu dnia. Dzisiaj ledwo oczy otworzę, wydoję krowy, przygotuję śniadanie, polecę na pole, zakrzątnę się koło obiadu, a tu już słońce kryje się za lasem. Wołam do Jasia, żeby bydło przygonił, Andrzej krzyczy na mnie, że nic jeszcze nie zrobione, czym ja się zajmowałam w ciągu dnia, a ja już nie mam siły mu odpowiadać. Siadamy do kolacji i za oknem noc. Jesteśmy we trójkę: ja, Andrzej, i Jaś. Dzieci odeszły w świat. Jagusia została już babką. Nie wygląda na babkę, wszyscy się dziwią, kiedy o tym się dowiadują. Jedna wnuczka jest dziennikarką, a druga malarką. Cieszę się z tego, ale smucę się, bo za rzadko ich widuję. Przyjeżdżają tylko na miesiące letnie. Wtedy jest mi lżej, bo Jagusia mi pomaga. Rysiek także pojechał z nimi. Skończył studia w Łodzi. Jest chemikiem, ożenił się, ma syna i córkę. Dopóki żyła matka, było u nas jeszcze jako tako. Andrzej był opryskliwy dla Eugenii, ale ona nic sobie z tego nie robiła. Kiedy Andrzej za wiele sobie pozwolił, matka odchodziła do swojej izby i mówiła: przy Tomaszu byś tego nie powiedział. Andrzej trzaskał drzwiami. Bo matka mówiła prawdę. Przy Tomaszu Andrzej mało co znaczył. Matka nie pracowała, ale zawsze jej obecność łagodziła spięcia. Eugenia wprowadzała do domu dobry nastrój. Nieraz jedno jej słowo wystarczało, aby zły duch (jak mówiła Woźniaczka) uleciał z tego domu. Jasiowi powiedziało się kiedyś, że dziadek Tomasz nie byłby taki mądry, gdyby nie Eugenia. Chłop zawsze korzysta przy babie — wywodził Jasiu. — A baba oprócz udręki, nic z tego nie ma. Serce mi się ścisnęło, mówi Wiktoria, kiedy to usłyszałam. W czasie wolnym, najczęściej wieczorami, Eugenia przypominała Tomasza i jego opowieści. Wspomniała kiedyś, jak Tomasz odsiadywał karę w gminnej kozie i jak przynosiłyśmy mu z Jagusią jedzenie. Ile wtedy Jagusia mogła mieć lat? Cztery? Pięć? Jagusia lubiła te odwiedziny, bo mogła się napatrzeć świata, ile chciała. Jagusia była z natury ciekawa wszystkiego. Zadawała niezliczone pytania, Tomasz mówił tego dnia o krakusach, których Dembiński brał do powstania. Albo raczej namawiał, aby poszli z kosami, to powiedzenie będzie bliższe prawdy. I patrzcie, mówiła Eugenia, jak to się w tę wojnę sprawdziło. Powstało chłopskie wojsko, samo się utworzyło, a kobiety także na różny sposób walczyły. Niektóre sprawy dojrzewają przez lata. Można powiedzieć, że kto zachował pamięć o Kościuszce, czy o takich, co się bili w powstaniach, to w ostatniej wojnie nie miał prawa o tym zapomnieć.

Matka zmarła w pięćdziesiątym pierwszym roku. Śmierć miała, jak opowiada Woźniaczka, piękną. O ile piękno znajduje się w śmierci. O śmierci można ładnie mówić, choćby na kazaniu, albo w wierszu. Ona sama jest jednak gwałtem na człowieku, który się dusi, bo nie może oddychać. Ale ludzie ubierają te rzeczy w ładne stroje, bo się tym pocieszają. A zresztą któż wie, co się w ostatnim błysku człowieka przebija?

Matka od miesiąca leżała w łóżku. Była bardzo słaba. Wyschła jak wiór. Tego dnia powiedziała, że chce zobaczyć świat. Może ostatni raz — powiedziała. Wyprowadziłam ją do ogródka, posadziłam na ławce. Jak tu jest ładnie, mówiła. Był październik, ale słońce przygrzewało jak w sierpniu. Niebo było powleczone mgłami, które dodawały przytulności, na czym oko spoczęło. W naszym ogródku kwiaty wyrastają wysokie. Kwitły jeszcze malwy. Nad płotem pochylała się śliwina, pełna granatowych owoców. Matka bardzo lubiła śliwki, zwłaszcza węgierki. Najlepsze były przejrzałe, z pomarańczową skórką. Były pełne miodu — mawiała matka. Mogła tylko na nie patrzeć. Nie mogła jeść. Wydawało mi się, że matka czuje się lepiej. Poweselały jej oczy. Dałam znać przez Jasia, żeby Malinka ją odwiedziła. Matka się ucieszyła z odwiedzin. Siedziały na ławce obydwie i gadały. Niedługo przyjdzie mi się zabierać, powiedziała do Malinki. Co wy! Nie gadajcie głupot, musimy jeszcze prawnuczków doczekać, strofowała ją Malinka. A może prawnuczki? — sprzeczała się matka. Pożegnały się z Malinką. Upłynęło może dziesięć, piętnaście minut, kiedy Andrzej zajrzał do ogródka. Zobaczył, że matka siedzi z głową opadniętą na piersi. Krzyknął do mnie i podbiegł do matki. Matka nie dawała oznak życia. Wziął ją na ręce i zaniósł do izby. Próbowaliśmy ją ratować, ale to już był koniec. Pochowaliśmy ją obok Tomasza. Ubrałam ją w suknię, którą miała przygotowaną na tę okazję. Przetrzymywała ją w swojej skrzyni.

Zachowała się jedna jedyna fotografia zbiorowa całej rodziny. Wisi ona dzisiaj na ścianie w mieszkaniu Wiktorii. Zenek zrobił odbitki i każda wnuczka ma dzisiaj to zdjęcie. Tomasz i Eugenia poszli kiedyś z córkami do fotografa. Rodzice usiedli na krzesłach, a z tyłu za nimi stanęły Wiktoria i Józia. Wiktoria miała za rok wyjść za mąż. Kazika nie było przy tym. Tomasz chciał mieć całą trójkę na zdjęciu, więc kazał wstawić fotografię Kazika pomiędzy zdjęcia Wiktorii i Józi. Fotograf zrobił to tak zręcznie, że dzisiaj nikt nie pozna, że to fotomontaż. Tomasz i Eugenia ubrani są po staroświecku. Eugenia ma na sobie czarną, a może szarą bluzkę z prostym kołnierzykiem. Na głowie ma chusteczkę, zawiązaną pod brodą. Oczy, dość duże, patrzą przed siebie — jak mówi Wiktoria — z siłą. „Matka zawsze miała takie spojrzenie, pamiętam, jak ojciec twierdził, że przed matką nic nie ukryje, bo ona go na wylot przewierca oczami". Wiktoria ma twarz ładną, pociągłą. „Wydaje mi się, że matka miała zawsze taką twarz, jak na tej fotografii". Tomasz ma na sobie staromodną marynarkę, jest w białej koszuli, bez krawata. Ma włosy gęste, zaczesane na bok. Nosił wąsy lekko zwisające ku dołowi. Na pierwszy rzut oka widać, że to jest człowiek dobry. „Kto spojrzy na tę fotografię, mówi: musiał to być człowiek dobry" — powiada Wiktoria. Wiktoria na tej fotografii wygląda bardzo ładnie. Ma twarz subtelną. Trudno wyrazić urok tej postaci w jednym zdaniu. Posiada coś z twarzy ojca i matki. Ubrała się do fotografii w bufiastą bluzkę z szerokim kołnierzem. Włosy, widać że bujne, zaczesała gładko do tyłu. Woźniaczka powiada: „Nie dziwię się, że Andrzej prosił o tę dziewczynę na kolanach". Józia jest nieco mniejsza od Wiktorii, czarna, nawet na fotografii widać, że musiała mieć włosy dużo ciemniejsze niż siostra, ma twarz ładną, choć rysy może za ostre. Kazik jest podobny do ojca. Gdyby mu przyprawić wąsy, można by się pomylić i wziąć go za Tomasza — żartuje nieraz Wiktoria. Kazik zginął we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Był bardzo zdolny. Tomasz marzył, aby syna wyuczyć. Dopiął swego, Kazik skończył gimnazjum, przy swoich zdolnościach mógłby wiele osiągnąć. „Przepadł chłopak i koniec. Jak mój Jasiek" — powiada Woźniaczka.

„Patrzę na tę fotografię i rozmyślam — mówi Wiktoria. — Czasami ojciec i matka uśmiechają się do mnie. A czasami patrzą z wyrzutem, jakbym coś zawiniła. Całe życie jest rozrachunkiem ze sobą albo z tymi z którymi miało się do czynienia. Zachodzę do Kamienia, jak pierwszego dnia, kiedy tu przybyliśmy i pytam, jaka jest ta moja wina, której nie pojmuję. Andrzej mnie przyłapał na tym, że głośno rozmawiam z Kamieniem. Uderzył się w czoło. Stara, a głupia, powiedział. Proboszcz, który lubi do nas przychodzić, poucza mnie: Wiktorio, popadacie w bałwochwalstwo. Z Kamienia uczyniliście przedmiot kultu. Dajecie mu życie, którego on nie posiada. Modlicie się do niego. To nieprawda, odpowiedziałam. Nie modlę się do Kamienia. Nie rozmawiam z nim. Gadałam do niego kiedyś, kiedy byłam młoda. Teraz rozmawiam sama ze sobą. Spowiadacie się przed tym Kamieniem, jak przed księdzem. Może nawet księdzu tego nie mówicie, co Kamieniowi, upierał się proboszcz. — Jeżeli ksiądz proboszcz uważa to za spowiedź — odpowiedziałam — to każdy człowiek spowiada się bezustannie, w każdej minucie, na każdym swoim kroku. Nieważne jest wyliczanie przewinień, a ich rozumienie. Bez takiego spojrzenia na siebie, na życie nie ma wartości. A biedny Kamień! Działo się przy nim wiele rzeczy. Ile słów prawdziwych i fałszywych on słyszał.

(Fragment powieści)

TADEUSZ PAPIER

9 lipca Tadeusz Papier ukończył 65 lat. Zauważona, „okrągła" rocznica tradycyjnie już skłania do podjęcia, choćby prowizorycznej próby bilansu dotychczasowego dorobku pisarza. W tym przypadku zadanie takie pozornie nie nastręcza kłopotów. Zanim jednak powiemy, dlaczego wydaje się ono proste i dlaczego jest to ułatwienie złudne, odnotujmy rozmiary i rytm tej twórczości.

Składa się na nią pięć tomów opowiadań: „Morga ziemi" (1952), „Kowale" (1953), „Swaty" (1954), „Dwa wygnania" (1961), „Magdalena w nocy" (1962, następne wydanie w formie powieści — 1971); osiem powieści: „Nowe skiby" (1954), „Diabeł w Żywocicach" (1955), „Powtórna śmierć Boryny" (1965), „Dziadek i Róża" (1968), „Narodziny Gerty" (1969), „Diablica z Mediolanu" (1973), „Ciche jeziora" (1976), „Cienie na piaskowej górze" (1976); dwa zbiory o charakterze dziennikarskim: reportaże prasowe „Zielony szlak" (1960) oraz felietony i szkice publicystyczne „Z zapisków kronikarza" (1969). W sumie zatem liczy książek piętnaście. Ponadto, przy sporządzaniu dokładnej bibliografii, należałoby jeszcze wymienić teksty widowisk: „Młodość Jasia Kunefała" (TV 1969) według głośnej powieści Stanisława Piętaka i „Wesele Boryny" (1969) na podstawie fragmentów „Chłopów" Reymonta oraz zapisów folklorystycznych; scenariusze filmów dokumentalnych i oświatowych; opowiadania, reportaże, artykuły rozproszone w antologiach, almanachach literackich, rocznikach czasopism, zwłaszcza „Wsi" (1945—1953), „Kroniki" (1955—1958) i „Odgłosów" (1958—1979).

Spojrzenie wstecz na drogę przebytą przez autora od debiutu (Gmina Kamień — monografia środowiska wiejskiego, „Wieś" 1945 nr 4 i 9) aż po prace najnowsze pozwala z łatwością dostrzec w jego prozie i publicystyce zdecydowany prymat tematyki chłopskiej nad innymi, sporadycznie zjawiającymi się obserwacjami i refleksjami spoza obszaru wsi. W gruncie rzeczy tylko „Magdalena w nocy", szalenie swego czasu popularna wśród nastolatków oraz sensacyjna „Diablica z Mediolanu" są jedynymi większymi dygresjami Papiera, wyznaczają granice dewiacji od głównego nurtu pisarstwa i pewnego rozluźnienia rygorów problemowych w nim obowiązujących, na ulgowo potraktowanym terenie beletrystyki popularnej.

W całej reszcie energia twórcza autora skupia się na studiowaniu — najogólniej mówiąc — dialektyki przemian polskiej wsi: zmienności realiów i ciągłości tradycji. W ostatnich powieściach idee te uzyskały wyraz w literackim motywie albumu rodzinnego, który scala relacje o, biegnących w różnych kierunkach, losach i karierach bohaterów, uwikłanych w dramaty narodowej historii i w przyspieszone przeobrażenia cywilizacyjne i społeczne naszych czasów, a zarazem zakorzenia te losy w kulturze dziedzictwa rodowego i gromadzkiego ludowej wspólnoty.

Przyznajmy, że jednolitość tworzywa i problematyki ułatwia komentowanie twórczości Papiera, ale także osłabia czujność krytyczną, tym bardziej, że owo „spojrzenie wstecz" nie zatrzymuje się na widocznych gołym okiem przeszkodach interpretacyjnych, gwałtownych zakrętach obserwowanej drogi, które zmuszałyby do wysiłku przy objaśnianiu wieloznacznych podtekstów, sprzeczności ideowych, czy zaskakujących innowacji formy artystycznej Tkwiąc, w kolejnach niewyszukanego realizmu wieś Papiera nie ma też nic wspólnego z tą neoromantyczną ludowością, baśniową, mityczną i fantasmagoryczną, jaka powróciła w tzw. nurcie wiejskim prozy polskiej lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. W rezultacie — bezpretensjonalna prostota i ład wewnętrzny tej twórczości zwieść mogą krytyka na płyciznę zdawkowych sądów i pochwał. W istocie bowiem skalę trudności w komentarzu wyznaczają nie, mniejsze lub większe, komplikacje w samym pisarstwie Papiera, bo jest ono mało zintelektualizowane, lecz nie dość dziś uświadamiane — może nawet przez samego pisarza — głębsze uwarunkowania inteligenckiej wierności tematyce ludowej.

Aby je chociaż częściowo, li tylko na prawach hipotezy, odsłonić, trzeba raz jeszcze pobiec wzrokiem w lata minione, bacząc jednak szerzej, nie na samą dziedzinę literatury, ale lustrując również poprzedzające i towarzyszące jej fakty życiowe, bliskie inklinacjom i postawom sporego zastępu

twórców, uczonych i działaczy, zwracających się w imię różnych intencji i z różnymi wyobrażeniami o przyszłości, wszak zawsze z szacunkiem i nadzieją, ku masom wiejskim. Byli to przeważnie, choć nie wyłącznie (Maria Dąbrowska!), inteligenci świeżej daty, o rodowodzie chłopskim. Już w latach trzydziestych zaznaczyli oni swą odrębność w kulturze polskiej, a zaraz po wojnie wyróżnili się swymi koncepcjami i aktywnością organizatorską. Wspomnijmy tu choćby Wincentego Burka, Stanisława Czernika, Jalu Kurka, Władysława Kowalskiego, Józefa Mortona, Stanisława Piętaka, Wojciecha Skuzę (zmarłego podczas wojny), Jana Wiktora...

Biografia Papiera dostarcza pod tym względem wielu znamiennych informacji. Syn rolnika, maturzysta gimnazjum kieleckiego z 1934 roku, szkoły o patriotycznej atmosferze wychowawczej, studiował następnie w Uniwersytecie Warszawskim, gdzie w kółku polonistycznym rej wodził niedawny absolwent uczelni Ludwik Fryde (wspomina o nim Papier w „Cichych jeziorach"), intelekt błyskotliwy, poszukujący nowych wartości. Panował tam ferment umysłowy, który nie tylko, choć przede wszystkim, kształcił krytycyzm w podejściu do zagadnień filozofii, sztuki i literatury, lecz także poddawał myślowej obróbce radykalizm społeczny, wyniesiony z własnych, rodzinno-młodzieńczych doświadczeń przybysza z ubogiej, chłopskiej Kielecczyzny. Pod wpływem obu tych szkół uformowała się wówczas, charakterystyczna dla znacznego odłamu młodej inteligencji lat 1935—1939, postawa obywatelska, odwołująca się do tradycji niepodległościowych dla zaznaczenia swych pragnień odnowy stosunków społecznych w duchu radykalnego demokratyzmu i podjęcia, zaprzepaszczonych przez obóz rządowy, haseł republiki ludowej, głoszonych u progu Drugiej Rzeczypospolitej. Tę formułę radykalizmu i orientację społeczno-polityczną potwierdza praca Papiera na stanowisku sekretarza redakcji „Orki na Ugorze" — jednego z czasopism demokratycznej opozycji antysanacyjnej. Oznaczała ona też początek długoletniej praktyki redaktorskiej w prasie („Wieś", „Łódź Teatralna", „Łódź Literacka", „Kronika", „Odgłosy", „Osnowa") i w innych placówkach kulturalnych (Wytwórnia Filmów Fabularnych, Wydawnictwo Łódzkie).

Szczególne znaczenie dla rozwoju zainteresowań i poglądów pisarza miał jego udział w zespole redaktorów i publicystów tygodnika „Wieś" (1945—1949), kierowanym przez Jana Aleksandra Króla, autora głośnych „Drogowskazów na manowcach kultury ludowej", nawiązujących do przedwojennej książki Stanisława Pigonia „Na drogach i manowcach kultury ludowej". W tym kręgu inicjowano akcje upowszechniania wiedzy i pobudzania talentów, usiłowano integrować tę część rozproszonej po kraju społeczności pisarskiej, która ciążyła ku wsi (warto tu wspomnieć zjazd pisarzy chłopskich w Rytwianach w 1947 roku i działalność Oddziału Wiejskiego Związku Literatów Polskich, do którego Papier należał od 1946 r.), dążono do ogarnięcia całokształtu zagadnień historii i współczesności ludu polskiego. W szerokim gronie współpracowników toczono spory o definicję kultury ludowej, o rolę wsi w życiu społecznym i w kulturze narodowej. Nieprzypadkowo w tym klimacie rozwinęła się idea kwestii chłopskiej jako klucza do rozumienia głównych problemów historii narodu w ostatnich dwóch stuleciach i w tym kręgu właśnie powstało naukowe opracowanie sprawy chłopskiej w początkach powieści polskiej. Upominanie się o rangę wsi i wiara w kulturotwórcze możliwości ludu miały stworzyć pozytywną alternatywę nie tylko dla tradycyjnego elitaryzmu, który należało przezwyciężać w imię ideałów społecznej równości, ale również alternatywę dla tych gwałtownych przewartościowań w kulturze, które bezceremonialnie zrywały, bądź groziły zerwaniem nici narodowej tradycji. Kultura wiejska miała więc być szansą dla kultury narodowej, jako jej wzbogacenie i jako ocalenie szeregu rodzimych wątków.

Okres „Wsi" chyba najsilniej wpłynął na osobowość pisarską Papiera, dodajmy tylko jeszcze, że wcześniej — podczas okupacji, gdy we wsi Janina-Strzałków uczył on na tajnych kompletach szkolnych — i później, gdy w częstych wędrówkach po prowincji, w trakcie spotkań literackich w bibliotekach, klubach i szkołach popularyzował w tym środowisku sprawy kulturalne, w publicystyce swej zaś utrwalał ciche, żyjące w cieniu postacie krzewicieli wiedzy i książki, najczęściej wiejskich nauczycielek, bibliotekarek, działaczek ruchu światowego i amatorskiego, zawsze poświadczał swą działalnością społeczną trwałość wczesnych inspiracji, które w ruchu na rzecz wsi widziały zadanie i szansę inteligencji (nie zapominajmy o żywej w Kielcach tradycji Żeromskiego!), a wykształconym synom chłopskim nakazywały „spłacać dług", zaciągnięty wobec swej warstwy. Te idee i szlachetne mity przeniknęły do prozy Papiera, wzbogacają ją i ograniczają zarazem. Pełne wyjaśnienie historycznego sensu tego pisarstwa wymaga zatem oświetlenia tych wszystkich intencji, przekonań i nawyków myślowych, które nadały i umotywowały kierunek zainteresowaniom i planom literackim Papiera w czasach jego młodości, gdy całe pokolenie — różniąc się w prognozach — wyczuwało nadchodzące przemiany, starało się podjąć i uzasadnić ich konieczność, określić swoje miejsce.

Wskazane tu tropy biegną na poboczach i zapleczu samej twórczości; w powyższych, okolicznościowych rozważaniach zostały naszkicowane jedynie kilkoma, najogólniejszymi kreskami, bez próby analizy i porównania z innymi, które też warto by uwzględnić. Dlatego życząc Pisarzowi pomyślności w pracy twórczej pragnę wyrazić przekonanie, że do spraw poruszonych przy tej miłej okazji przyjdzie jeszcze powrócić w innych publikacjach.

JERZY RZYMOWSKI

Część III

Narrator czwarty:

Odwróciłem się do przewodniczącego:

— *Pan dyrektor mówił do mnie?*

— *Tak. Do was, kolego.*

Oświetlona jaskrawym światłem czteroramiennego neonu, biała, jakby namaszczona kremem kosmetycznym twarz Mildego w kontraście z czarnymi okularami miała pozór pośmiertnego odlewu gipsowego.

— *Nazwisko kolegi?* — dopytywał się przewodniczący.

— *Moje nazwisko?*

Cisza zdawała się pogłębiać. Echo powtórzyło: „*Ma-jak*"!

— *Jak, proszę?* — zapytał Milde gniewnie.

Zacząłem literować: — *M jak Maria, A jak Adam, J jak...*

— *Dziwne nazwisko* — zastanowił się przewodniczący.

— *Widzę, że pan nie chodzi do opery. W tutejszym Teatrze Wielkim śpiewa sławny baryton o takim samym nazwisku.*

— *Kolega interesuje się muzyką?*

— *Nie tylko, życie jest niezgłębione.*

— *Kolega przyszedł na zebranie? Co tam kolega znalazł?*

Podniosłem oburącz trzymane znalezisko:

— *Srebrny dzban. Schowałem go wczoraj na półce jako dowód rzeczowy.*

— *Rzućcie to, kolego!* — rozkazał Milde. — *Ubrudzicie sobie ręce.*

— *Ręce mam czyste* — odpowiedziałem z powagą.

Audytorium zareagowało zbiorowym poszeptem na podobieństwo długiego, omdlewającego westchnienia.

— *Rzucić do diabła ten szmelc!* — Sapiński wstał. Oparty obiema rękami o stół, zaczął wrzeszczeć z wściekłym uniesieniem. — *Co to za plądrowanie po moim magazynie? Rzucić bez gadania ten dzban. Ale już! Trzy, cztery!*

Miał zamiar zejść z podium, ale powstrzymał go chłodny nakaz przewodniczącego:

— *Sapiński, spokój. Zostać na miejscu. A wy, kolego, jak wam tam?...*

— *Majak, do usług.*

— *Kolego Majak, rzućcie to świństwo i siadajcie.*

— *Świństwo? Może to i prawda* — mówiłem powoli, z namysłem — *chociaż to rzecz do dyskusji.*

— *Dlaczego?* — zapytał Milde.

— *Dlatego, że każda prawda może okazać się dyskusyjna. Na przykład, siedemnastowieczny empirysta John Locke twierdził, że doświadczenie jest źródłem prawdy i wiedzy. Współcześni mu byli zachwyceni tym odkryciem. Sądzili oni, że to, co Newton odkrył dla przyrody, Locke odkrył dla człowieka. Tymczasem w pół wieku później filozof angielski Hume wykazał w doświadczeniu czynnik subiektywizmu i niepewności. A więc prawda może być nie tylko dyskusyjna, ale i zmienna, precyzyjna lub nieścisła; subiektywna lub obiektywna; stronnicza lub rzetelna.*

— *Pięknie* — zgodził się przewodniczący. — *Ale na porządku dziennym naszego zebrania mamy konkretne zadania i tematy, związane z naszą spółdzielnią, a nie problemy filozoficzne.*

Psykania, gwizdy, krzyki, protesty. Wywiązała się dyskusja, czy mam odstawić dzban, czy uzasadnić konieczność wyjaśnienia historii z dzbanem. Zgromadzeni podzielili się na dwa obozy, jedni za mną, drudzy przeciwko mnie.

— *Przerywam tę dyskusję* — ogłosił Milde swoją decyzję. — *Będziemy kontynuować obrady według porządku dziennego.*

Magazynier przybliżył się do wicedyrektora i przyduszonym szeptem kładł mu do ucha, że Milde prowadził zebranie jak dupa wołowa. Tamten chuligan (to o mnie) kpi sobie w żywe oczy z prezydium. Ceregra odsunął się od Sapińskiego i gestem dłoni nakazał mu spokój.

Wszedłem na podium. Stałem blisko prezydialnego stołu. Mam dobry słuch, słyszałem wszystko.

— *Stwierdzam, że kolega zachowuje się niepoważnie i przeszkadza w obradach* — upomniał mnie Milde.

— *Ja tylko sądzę...* — broniłem się.

— *Że co?*

— *Że ten dzban to symbol.*

Ceregra przechylił głowę ku Mildemu i doradzał mu, żeby ze mną nie dyskutował.

— *To jakiś pomyleniec. Rozpieprzy nam zebranie. Z takim się nie dyskutuje.*

Słyszałem to, lecz nie zareagowałem. Żal mi się zrobiło Ceregry. Był chory na serce. Wyjął z kieszonki w kamizelce fiolkę z eucardiną, wysypał tabletkę na wgłębienie dłoni, wepchnął do ust, nalał trochę wody do szklanki, popił lek.

Milde zastukał w stół ciężkim metalowym nożem do przecinania papieru, poprosił o ciszę i o zapisywanie się do głosu.

Pierwsza zgłosiła się personalna Witkowska.

— *I ja proszę o głos* — podniosłem rękę.

Przewodniczący udzielił głosu personalnej. Witkowska wstała oznajmiając, że chciałaby tylko wiedzieć, co znaczą zmiany, jakie dokonały się ostatnio w spółdzielni. Od paru miesięcy decyzje w sprawach kadrowych podejmuje się bez jej udziału. Dawniej o przyjęciu i zwolnieniu pracownika decydował naczelny, wicedyrektor i personalna. Tymczasem mniej więcej od pół roku personalnej w ogóle nie zaprasza się na narady. Personalna została wymanewrowana. Panowie dyrektorzy dobrali sobie pana Kubę...

— *I teraz decyduje kolektyw* — wyjaśnił przewodniczący wpadając w tok zdania personalnej. — *A więc nie ma powodu do skarg. To wszystko? Dziękuję. Kto prosił o głos?*

Witkowska zbita z tropu usiadła.

— *To oburzające!* — Kamińska i Duninówna podżegały personalną. — *Przerwał pani w połowie zdania. Powinna pani zaprotestować.*

Wstał Wencel:

— *Koleżanka Witkowska jeszcze nie powiedziała wszystkiego. Przerwano jej.*

Milde zgasił go trzepnięciem ręki z góry na dół:

— *Nie udzieliłem koledze głosu.*

Z różnych stron podniosły się protesty w obronie Witkowskiej.

— *Protestuję i proszę o głos w kwestii formalnej* — upominał się Wencel o swoje prawa.

— *A ja proszę kolegów o ciszę* — przewodniczący stukał metalowym nożem w stół. — *Bo w ten sposób będziemy obradować do rana* —

Władysław Rymkiewicz

fatamorgana

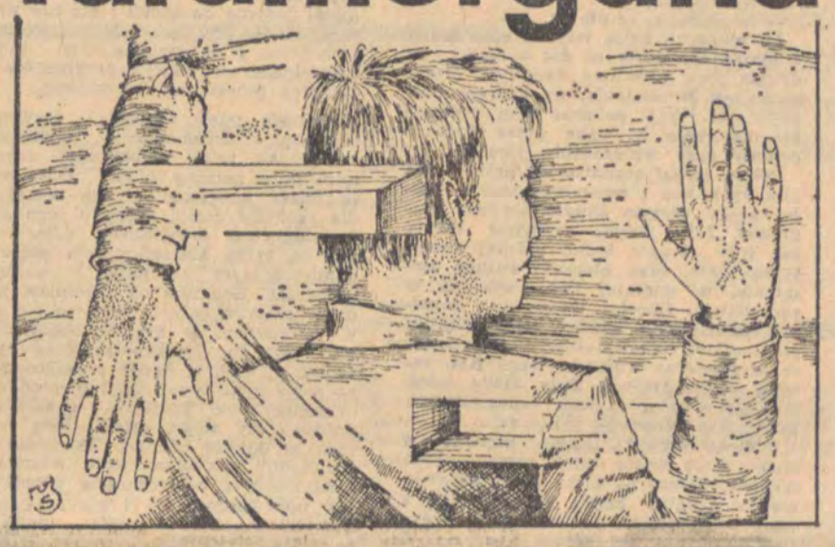

ostrzegał. — *Zdaje się, że kolega z dzbanem prosił o głos. Śmiało, proszę, żeby koledzy potem nie narzekali, że tłumi się krytykę.*

— *Tłumi się. Przykładem koleżanka Witkowska!* — dopominał się głośno Wencel o prawa personalnej.

— *Co, proszę?* — Milde udał, że nie słyszy. — *Kto jeszcze prosił o głos?*

Podniosłem rękę.

— *Właśnie. Kolega z dzbanem. Wasze nazwisko, proszę? Przepraszam, zapomniałem.*

— *Majak.*

— *Kolega chyba pracuje u nas od niedawna?*

— *Od trzech miesięcy. Jutro kończy się mój okres próbny.*

— *Proszę, jutro?* — zdziwił się obłudnie Milde. — *Koleżanko personalna, proszę powiedzieć, jak to jest z kolegą Majakiem.*

Witkowska wstała.

— *Tak. Zdaje się. Nie pamiętam. Dawniej, gdy w sprawach zatrudnienia decydował naczelny, pan wice i ja, pamiętałam wszystko. Ale od kiedy zostałam odsunięta...*

— *Słyszeliśmy już o tym* — przeciął Milde. — *Dziękuję. Jedno pytanie tylko. Czy mamy obowiązek przedłużenia umowy o pracę z kolegą Majakiem?*

— *Jeżeli to był okres próbny, to nie mamy obowiązku.*

— *Na pewno nie mamy* — orzekł autorytatywnie naczelny. — *Kolega Majak tak, jakby już nie był naszym pracownikiem. Chyba, że odnowimy z nim umowę.*

„*Chce mnie kupić*" — pomyślałem. — „*Chce, żebym się przestał stawiać*".

— *Ale posłuchajmy, co nam powie kolega Majak. Jakie wrażenie odniósł ze stanu behape u nas?*

— *Okropne* — powiedziałem otwarcie.

Homeryczny śmiech i frenetyczne oklaski przetoczyły się jak długotrwały grzmot, zapowiadający nadciągającą burzę.

— *Ja. Tak. Na wstępie muszę powiedzieć...*

Postawiłem dzban u nóg i zacząłem moje przemówienie od tego, że w ciągu tych trzech próbnych miesięcy napatrzyłem się na różne przedziwne rzeczy, jakie dzieją się w „Undiquie".

— *Brawo!* — zaklaskała Duninówna. — *Brawo!*

— *Tylko tak dalej!* — zachęcał mnie głośno Wencel.

Milde stukał w stół ciężkim metalowym nożem do przecinania papieru. Bez rezultatu.

— *Słuchajcie! Słuchajcie!* — rozległy się pełne zapału okrzyki. — *Może ten wreszcie odważy się wygarnąć całą prawdę.*

Kłaniałem się i wystudiowanymi ruchami, łagodnym gestem ręki prosiłem o ciszę.

— *Wtykałem, jak to się mówi, nos wszędzie, gdzie trzeba i gdzie nie trzeba.*

Śmiechy na przemian z kąśliwymi docinkami.

— *Częściej tam, gdzie nie trzeba* — dogryzł mi magazynier zza stołu prezydialnego.

Nie przywiązując znaczenia do „ćwiszenrufu" kontynuowałem:

— „*Undiqua*" *jest jak stary, zardzewiały zegar, w którego konstrukcji niełatwo się rozeznać. Powoli jednak zacząłem się orientować w działaniu tego dziwnego mechanizmu.*

— *Bardzo interesujące! Słuchamy! Słuchamy!* — rozlegały się zachęcające głosy.

— *Przede wszystkim zastanowiła mnie dziwna, zaiste, nazwa przedsiębiorstwa* — przemawiałem gawędziarskim tonem osobistego zwierzenia. — *Rozumiem „Puchatek", rozumiem „Czystość". Ale „Undiqua"? Co znaczy, u licha, to słowo? Zadawałem sobie pytanie i nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Przed wojną ukończyłem Szkołę Zgromadzenia Kupców, handlówkę, w której nie uczono łaciny. Mój tata był buchalterem, a następnie prokurentem w znanej warszawskiej firmie i uparł się, żeby i syn poszedł w jego ślady. A ja właśnie już wtedy marzyłem o scenie. Teatr był i pozostał marzeniem mojego życia.*

— *Zwracam uwagę kolegi, że jego marzenia, jakkolwiek bardzo interesujące* — przerwał Milde mówcy — *nic nas tutaj nie obchodzą. Proszę mówić do rzeczy.*

Wrzaski, krzyki, stukanie krzesłami o podłogę. W zróżnicowanej masie hałasu dały się słyszeć pojedyncze głosy męskie i kobiece: — *Nie przeszkadzać! Pozwolić mówić człowiekowi! Precz z kliką! Precz! Precz!* — skandowano chóralnie.

— *Wyobrażałem sobie więc* — mówiłem, gdy się uciszyło — *że będę Talmą, albo Solskim. Niestety, brutalny praktycyzm mojego taty ściągnął mnie z obłoków na ziemię. Musiałem wyrzec się marzeń o scenie i pod naciskiem ojca-tyrana wstąpić na wydział konsularny do Wyższej Szkoły Handlowej. Był to wydział, który mi dawał szansę ucieczki za morze, do egzotycznych krajów.*

— *Bardzo to interesujące, co kolega mówi* — przerwał Milde — *ale gdybyśmy chcieli obradować w ten sposób, to musielibyśmy tu siedzieć do rana. Proszę więc...*

— *Chwileczkę!* — zwróciłem się z pełnym kurtuazji gestem do przewodniczącego. — *Otóż, nie znając łaciny nie mogłem sobie wytłumaczyć znaczenia dziwnego słowa. Poszedłem więc po rozum do głowy i kupiłem słowniczek łacińsko-polski. I oto, słuchajcie panie i panowie, okazało się, że „Undiqua" znaczy: skądkolwiek, ze wszystkich stron, wszędzie. Cóż za genialną intuicję miał człowiek, który wymyślił dla przedsiębiorstwa spedycyjno-przewozowego tę nazwę! Kto to był? Może państwo wiecie? Chciałbym uścisnąć temu człowiekowi rękę. Bo nie mogło być bardziej odpowiedniej nazwy dla firmy, której urzędnicy ściągają jak pracowite mrówki wszelkie dobra, gromadzą, zwożą to wszystko ze wszystkich stron kraju, zewsząd, wszystko, co można opylić, przepraszam, chciałem powiedzieć — upłynnić.*

Nowy wybuch śmiechu. Rzęsiste oklaski i głosy oburzenia.

— *Proszę, żeby kolega streszczał się!* — przypomniał Milde i znów nieprzyjazne okrzyki pod adresem gremium zasiadającego za zielonym stołem zagłuszyły próbę, jaką podjął przewodniczący, żeby usprawiedliwić swe ostrzeżenie.

— *Chwileczkę* — zapewniłem Mildego. — *Gdy chodziłem do szkoły, marzyłem, żeby zostać aktorem albo kaznodzieją, oratorem, złotoustym mówcą. Bossuet, Skarga albo Cyceron byli dla mnie wzorem. Bo czy to nie wspaniałe, mocą swej wymowy panować nad ludźmi, ujarzmiać swym krasomówstwem tłumy jak Orfeusz lwy i tygrysy, narzucać swoją wolę narodom i prowadzić je nieomylnie do wyznaczonego przez historię celu? Pan mnie rozumie, panie dyrektorze Milde, bo i pan był kiedyś mecenasem i poznał pan wszystkie arkana i uroki tego pięknego lecz niebezpiecznego zawodu.*

— *Do rzeczy, panie Majak, do rzeczy!* — przywoływał Milde mówcę.

Zaletą piwnicy była doskonała akustyka. Stojąc na podium słyszałem wszystko, co mówili półgłosem siedzący w pierwszych rzędach. „*Gdyby mu na początku odebrał głos, to by nie mieli kłopotu* — powiedział Rumpel Smoleniowi do ucha. — *Ale na szczęście teraz jest już za późno. Ten uroczy gaduła ma za sobą więcej niż połowę audytorium i zdaje mi się, że klikę czeka marny los*". „*Nie mógł mu odebrać głosu* — odrzekł Smoleń — *bo obradom przysłuchuje się pierwszy sekretarz Komitetu i nasi dwaj przedstawiciele organizacji partyjnej. Klika musi zachować pozory demokracji*".

— *A więc do rzeczy!* — zgodziłem się. — *Otóż chciałem zostać kaznodzieją i wstąpić do zakonu, lecz mój tata, który był handlowcem i odznaczał się nadmiernie rozwiniętym zmysłem poczucia rzeczywistości, odwiódł mnie od tego zamiaru. Zrezygnowałem i to była moja pierwsza porażka. Ale jeszcze nie zwątpiłem, że już nigdy nie będę tym, kim pragnąłem zostać. Jeszcze byłem młody i wierzyłem, że uda mi się urzeczywistnić moje marzenia. Później jednak załamałem się. To już był nokaut. Wyeliminowano mnie. Kto, zapytacie, panie i panowie. Samo życie, odpowiem. Po ostatniej klęsce żyłem już na marginesie. W całym świecie widziałem klikę, która zmówiła się przeciwko mnie.*

Okrągłymi gestami starałem się zilustrować, co przeżywa człowiek, któremu zabrakło sił, żeby na nowo podnieść się z pozycji na kolanach.

Ceregra zastukał długopisem w stół.

— *Zwracam koledze uwagę, że cierpliwość nasza jest na wyczerpaniu.*

— *Jak to, więc i pan wicedyrektor przeciwko mnie?* — zapytałem z bezbłędnie aktorsko rozłożonymi akcentami smutku w głosie. — *Myślałem, że przykre doświadczenia przeszłości przeorały pańską duszę do gruntu.*

— *Cóż to za idiotyczna aluzja?* — Ceregra odparował brutalnie insynuację.

— *Niestety, widzę jednak, że z uporem godnym lepszej sprawy powtarza pan błędy minionego okresu* — mówiłem z ubolewaniem — *na skutek czego zdjęto pana z zajmowanego stanowiska. Miał pan przytwardą rękę i komenderował pan zza biurka w myśl zasady: „Socjalizm to ja".*

— *To insynuacja* — stwierdził wicedyrektor z oburzeniem.

— *Prowokacja!* — wrzasnął magazynier. — *Odebrać mu głos.*

Protesty obu zaatakowanych członków prezydium wznieciły wrzawę i okrzyki: „*Nie przeszkadzać! Wysłuchać do końca! Pozwolić się wypowiedzieć!*"

Wywołało to sprzeciwy opozycji trzymającej z kliką: „*Duby smalone! Bzdury! Odebrać mu głos!*"

Nieustanny hałas i gwar przechodził we wrzawę, słabnącą i znów wzmagającą się, wreszcie — niezauważalną. Zebrani przestali zwracać uwagę na hecę i rozgardiasz, traktując bałagan jak coś normalnego i dopiero gdy zapadały krótkie chwile ciszy, wydawały się one szokujące. W takim dużym zbiorowisku ludzkim zawsze znajdą się figlarze, których zaczynają nużyć przedłużające się debaty, i pewne odłamy kawalarzy, z których jedni popierali dla pucu mnie, drudzy zaś na złość tamtym podburzali moich przeciwników. Ktoś nawet chciał iść o zakład i dla zabawy typować zwycięzcę, mnie lub popleczników kliki, lecz nie znalazł chętnych. Cóż to, jakiegoś totolotka sobie urządzacie czy totalizatora jak na wyścigach konnych na Służewie? — mógłby ktoś postawić zarzut. I w końcu wszyscy pogodzili się z faktem, że jedna połowa zebranych słucha uważnie mojego przemówienia, druga natomiast — prowadzi rozmowy między sobą. Czasem tylko rozlegały się protesty: „*Cisza! Nie przeszkadzać!*", albo: „*Co na to przewodniczący?*"

Milde gubił się w prowadzeniu zebrania, nie wiedział, kogo przede wszystkim uciszać, czy audytorium, czy prezydium, Ceregrę czy Sapińskiego, którzy doradzali mu, każdy na swój sposób, jak zaprowadzić porządek. „*Spokojnie, Ceregra*" — łagodził jednego lub drugiego: „*Spokojnie, Sapiński*".

(c.d.n.)

W poprzednim numerze „Odgłosów" rozpoczęliśmy przedruk z nr 3 „Astronautyki" artykułu Stefana Kowala, oceniający niektóre hipotezy Ericha von Dänikena. Obecnie publikujemy ciąg dalszy tego artykułu.

STEFAN KOWAL

NA BŁĘDNYCH SZLAKACH KOSMITÓW

Nad jeziorem Titicaca i na Wyspie Wielkanocnej

W pobliżu jeziora Titicaca w południowoamerykańskiej Boliwii, znajdują się ruiny — świadectwa pradawnej kultury. To Tiahuanaco. Von Däniken pisze:

„O Tiahuanaco nie ma żadnych wiarygodnych przekazów. Być może powinno nas to cieszyć, że odziedziczona w pewnym sensie kulawa wiedza szkolna nie potrafi dać tutaj właściwego rozwiązania. Ponad ruinami, mającymi niewyobrażalny i nie określony dotąd wiek, zalegają mgły przeszłości, niewiedzy i zagadek".

Tymczasem współcześni archeologowie ocenili, że zabytki Tiahuanaco pochodzą z lat mniej więcej 1000 — 1300 n.e., a więc są współczesne panowaniu naszych Piastów. Rudolf H. Nocoń w swojej monografii naukowej „Dzieje, kultura i upadek Inków" (s. 61—63) stwierdza:

„Trudno powiedzieć coś pewnego o pochodzeniu tej kultury. ...Niektórzy archeologowie przypuszczają wprawdzie, że została ona wprowadzona z zewnątrz, nie przedstawiają jednak żadnych dowodów na potwierdzenie tej teorii... Na temat życia mieszkańców z owych okresów nie można wiele powiedzieć. Na skutek złych warunków naturalnych zachowały się tylko te zabytki, które nie ulegają zbyt szybkiemu rozkładowi w ziemi, toteż obraz kultury Tiahuanaco, jaki uzyskać możemy na podstawie wykopalisk, jest niekompletny... Okazałość ruin skłoniła wielu badaczy do zastanowienia się nad ich przeznaczeniem, jednakowoż dotychczas żadna teoria nie okazała się zadowalająca. Nie pozbawiona sensu jest teoria głosząca, że Tiahuanaco było miejscem kultu, do którego co roku w pewnym okresie przybywała ludność, by pracować nad obiektami o charakterze kultowym. Natomiast mało prawdopodobne jest zdanie, że Tiahuanaco było niegdyś większym skupiskiem ludnościowym, przeczą temu zbyt ograniczone warunki gospodarcze i geograficzne Altiplano".

Należy zaznaczyć, że Tiahuanaco w dawnych wiekach kilkakrotnie nawiedzone zostało przez katastrofy żywiołowe (wylanie wód jeziora, którego poziom kiedyś dochodził do skraju obecnych ruin, silne wstrząsy podziemne). One właśnie spowodowały upadek rozwijającej się tam cywilizacji. Były to zjawiska naturalne, podobnie jak jej powstanie w wyniku ewolucji człowieka w odpowiednich warunkach bytowych, której wcale nie musieli patronować Kosmici, tak jak nie zrobili tego w starożytnym Egipcie.

Z Tiahuanaco von Daniken wiąże słynne posągi znajdujące się na dalekim Pacyfiku — na Wyspie Wielkanocnej.

„Zarówno tam jak i tu — pisze szwajcarski propagator kontaktów z Kosmitami — **znajdujemy kamiennych olbrzymów, należących do tego samego stylu. Dumne twarze o stoickim wyrazie pasują do rzeźb — zarówno tu, jak i tam... Kto więc powykuwał te posągi, kto je obrobił i kto przetransportował tam, gdzie się znajdują? Jak je przesuwano — bez użycia bali — kilometrami na przełaj przez góry? W jaki sposób je obrabiano, polerowano i ustawiano? A jak nakładano im kapelusze z kamienia, pochodzącego z innego kamieniołomu aniżeli same figury?"**

Okazało się jednak, że do realizacji wszystkich tych przedsięwzięć nie trzeba nadludzkich sił ani pomocy istot nie z Ziemi. Głośny archeolog norweski, Thor Heyerdahl, ze swymi towarzyszami z prymitywnej tratwy „Kon-Tiki" udowodnił przecież, że dotarcie z terenów obecnego Peru aż na Wyspę Wielkanocną przy użyciu tak nieskomplikowanego środka komunikacji jest w pełni wykonalne. Umiejętności wykonania wielkich figur z kamienia mogli przenieść więc jacyś emigranci z kraju kultury Tiahuanaco, czy później szej.

Przeczytajmy też co Heyerdahl pisze o problemach manipulacji kolosami na owej wyspie („Aku-Aku", s. 169):

„Słońce ledwie zaczęło przebijać przez ściany namiotu, gdy zbudził mnie hałas z zewnątrz. Okazało się, że dwunastu długouchych przyszło obejrzeć figurę i zastanowić się nad zadaniem, które ich czekało. Największa figura w dolinie Anakena leżała nosem ku ziemi... Przedstawiała faceta o barach trzymetrowej szerokości, ważącego około 25 lub 30 ton. Na jednego z dwunastu długouchych przypadało do podniesienia około 2 ton. Nic więc dziwnego, że stali obok kolosa i drapali się w głowę. Wyglądali jednak tak, jakby mieli pełne zaufanie do wójta, który krążył dookoła, oglądał figurę i podchodził do rzeczy z bardzo pewną siebie miną.

— Pierwszy mechanik Olsen podrapał się również w ciemię, potrząsnął głową i roześmiał się.

— Włosy mi na dłoni wyrosną, jeżeli wójt da sobie z tym radę.

— Nie da rady.

— Oczywiście, że nie da.

Po pierwsze kolos leżał u stóp muru z głową zwróconą w dół zbocza, po drugie jego podstawę dzieliły cztery metry od wzniesienia, na którym niegdyś stał. Wójt pokazał nam niewielkie kamienie używane przez krótkouchych przy wywracaniu figury.

Potem zaczął organizować pracę z takim spokojem i pewnością siebie, jakby nigdy niczym innym się nie zajmował. Jako jedyne narzędzie służyły mu trzy okrągłe belki, później nawet tylko dwie, oraz otoczaki i inne kamienie, w wielkiej ilości zebrane w sąsiedztwie. Chociaż wyspa jest zupełnie pozbawiona drzew, poza kilku plantacjami eukaliptusów, wokół jeziora w kraterze wulkanu Rano Kao zawsze rosły drzewa. Trzy kłody mieściły się więc w ramach dopuszczonych przy eksperymencie urządzeń.

Oblicze figury tkwiło głęboko w ziemi, toteż końce belek trzeba było wkopać. Potem po kilku ludzi wieszało się na drugim końcu każdej belki, a wójt leżąc płasko na brzuchu, wpychał kamienie pod głowę figury... Z nadejściem wieczora głowa kolosa znajdowała się już dobry metr nad zboczem"...

I tak dzień po dniu biegła praca wykonywana nader prymitywnymi środkami przez garstkę prostych tubylców. Jedenastego dnia zaczęto podnosić figurę do pozycji stojącej. Stosując najrozmaitsze manipulacje belkami, kamieniami i linami, postawiono w końcu figurę pionowo. Jak pisze Heyerdahl, skromny wójt udowodnił swym osiągnięciem, że zna sposób rozwiązania jednej z najstarszych zagadek Wyspy Wielkanocnej. Pomoc Kosmitów okazała się zupełnie zbędna.

Można by tak polemizować z wielu stwierdzeniami zawartymi we „Wspomnieniach z przyszłości". Złoty „samolot" wykonany przez Inków nie stanowi odzwierciedlenia faktu, że oni sami potrafili unosić się w powietrzu przy wykorzystaniu sztucznych urządzeń, których tajemnicę budowy przekazali temu narodowi przybysze z dalekiego Kosmosu. Nie jest to również przedmiot informujący o zapomnianej już, a wcześniej znanej sztuce latania, uprawianej oczywiście przez przybyłe na naszą planetę istoty spoza niej. Gdy przyjrzeć się złotemu cacku, można rozpoznać w nim stylizowany kształt latającej ryby, którą Inkowie znali ze swych morskich wypraw. Wypada podkreślić, że nie znaleziono też żadnych pozostałości po rzekomych inkaskich urządzeniach latających.

Czas Majów

A oto niezapomniani twórcy wielkiej cywilizacji amerykańskiej — Majowie. Von Däniken znów jest na bakier z chronologią. Według niego **„mistyczny rok Majów, w którym zaczęto kalendarz, przypada na rok 3111 przed n.e. Dowody na to znajdują się w pismach Majów".** Jest zaskakujące, że ta zerowa data kalendarza określa czas wcześniejszy o około 3 tysiące lat od dwu najstarszych pewnych dat historii narodu, odczytanych na tzw. Steli 9 z Uaxactun i płytce z Leyden. Wśród archeologów panuje zgodna opinia, że owa data początkowa odnosi się do jakiegoś wydarzenia hipotetycznego, a nie faktu historycznego. Wybitny uczony Sylvanus Marley jest zdania, że Majowie uważali ten szczególny dzień za datę stworzenia świata lub narodzin swych bogów. Od tej chwili kapłani-astronomowie rozpoczęli też rachubę czasu.

Historia Majów jest, w porównaniu ze starożytnym Sumerem czy Egiptem, stosunkowo nowa. Pierwsze państwa-miasta istniały dopiero w I—II wieku n.e. Potem nastąpiły okresy: Starego Państwa od IV do IX wieku n.e., kiedy rozkwitła rodzima kultura narodu oraz Nowego Państwa, gdy od X do XVI wieku rządzili tam najeźdźcy — Toltecy. Pomimo wielkich osiągnięć w dziedzinie architektury i stylu, cywilizacja Majów należy do epoki kamiennej. Naród ten stosował metal jedynie do ozdób i nic nie wskazuje na to, by czerpał informacje techniczne i natchnienie w innych dziedzinach od jakichś przybyszów z dalekiej przestrzeni kosmicznej.

Majowie mieli świetnie rozwinięte obserwacje astronomiczne, wykonywane jednak tylko okiem nie uzbrojonym przy pomocy lunet. Obserwacje te miały znaczenie przede wszystkim dla rachuby czasu, który u tego narodu odgrywał wyjątkową rolę. Nie był on tylko abstrakcyjnym pojęciem, odmierzającym kolejność i porządek wydarzeń. Stanowił on natomiast przede wszystkim odbicie tego, co się stało w zaświatach, w krainie bogów. Występowała tu charakterystyczna cykliczność zjawisk, a każdy z zachodzących po sobie cykli czasu miał niebiańskiego „nosiciela", od którego usposobienia, dobrego czy złego, zależał bieg zdarzeń w danym okresie. Ta wiara w nadrzędny charakter czasu wiązała się organicznie z koniecznością poszukiwania pór korzystnych i niekorzystnych, których znajomość miała umożliwić poznanie przyszłości i wybór takich sposobów postępowania, aby iść przez życie drogą jak najdogodniejszą. Nic więc dziwnego, że obsesja czasu spowodowała, iż kalendarz Majów osiągnął wyjątkową perfekcję — w istocie był najdoskonalszy ze wszystkich znanych w świecie starożytnym.

W kalendarzu tym występowały najrozmaitsze cykle, jedne nadrzędne nad drugimi (miesiąc, rok itd.), inne równoległe (20-dniowy uinal — miesiąc kalendarzowy, księżycowy, miesiąc synodyczny). Podstawą rachuby czasu Majów były dokładne obserwacje ciał niebieskich, przede wszystkim tych, które są najlepiej widoczne: Słońca, Księżyca, Wenus. Jest więc zrozumiałe, że wśród cykli kalendarza Majów pojawił się „rok wenusyjski" wynoszący 584 dni. Jest to okres oddzielający od siebie dwie kolejne, identyczne, wzajemne położenia planet Wenus i Ziemi na ich orbitach okołosłonecznych. Głębokie zainteresowanie czasem i uporczywe poszukiwanie różnych jego cykli mierzonych ruchem ciał niebieskich spowodowało pojawienie się „roku wenusyjskiego" w kalendarzu Majów, a nie zainteresowanie Kosmosem i kontakty z istotami z naszego świata.

Oczywiście, nie dysponując lunetami ani żadnymi innymi przyrządami mogącymi spełniać ich funkcję, astronomowie z półwyspu Jukatan nie byli w stanie odkryć ani Urana, ani tym bardziej, Neptuna, jak tego chce von Däniken.

Olbrzymi i Marsjanie

Autor „Wspomnień z przyszłości" we wszystkich dawnych cywilizacjach wietrzy odwiedziny istot, które dysponowały znacznie głębszą wiedzą i znacznie doskonalszymi środkami technicznymi niż współcześni Ziemianie. Według niego teksty zapisane pismem klinowym i tabliczki z sumeryjskiego Ur zawierają informacje o „bogach", którzy wyposażeni w nieśmiertelność i wszechmoc, przybyli z dalekich gwiazd i do nich powrócili.

W pewnym miejscu tekstu „Wspomnień z przyszłości" von Däniken powołuje się na tekst z mojżeszowej „Księgi Rodzaju": **„A w owym czasie byli na Ziemi olbrzymi; a także później, gdy synowie Boży zbliżali się do córek ludzkich, te zaś im rodziły. Byli to owi mocarze, mający sławę w owych dawnych czasach".** I w związku z tym właśnie tekstem snuje dalsze rozważania:

„Jeżeli wybitni naukowcy Wschodu i Zachodu wyrażają przekonanie, że Mars posiadał kiedyś rozwiniętą cywilizację, powstaje pytanie, dlaczego nie istnieje ona jeszcze dzisiaj. Czy rozumne istoty z Marsa musiały sobie szukać nowej przestrzeni życiowej? A może — ojczysta planeta zmusiła ich do szukania nowych terenów mieszkalnych ponieważ miała coraz mniej tlenu? Może jakaś kosmiczna katastrofa była powodem zagłady cywilizacji? A w końcu: czy część mieszkańców Marsa mogła się schronić na sąsiednią planetę?"

Von Däniken powołuje się tu na Immanuela Velikovsky'ego, którego książki „Zderzające się światy" i „Wieki chaosu" wywołały w Stanach Zjednoczonych co najmniej tak wiele kontrowersji, jak twórczość szwajcarskiego hotelarza w Europie. Velikovsky w „Zderzających się światach" pisze, że Wenus, która według niego była kiedyś kometą i poruszała się po zupełnie innej orbicie niż teraz, uległa kolizji z Marsem. Wtedy też utraciła swój warkocz i weszła na obecne swoje miejsce w Układzie Słonecznym — między Merkurym a Ziemią.

„Jeśli jednak kosmicznych rozmiarów katastrofa może być brana pod uwagę jako przyczyna zniszczenia cywilizacji na Marsie — czytamy we „Wspomnieniach z przyszłości" — **wówczas nasuwające się skojarzenia mogą być także materiałem dla naszej teorii, że Ziemia w najbardziej zamierzchłych czasach przeżyła odwiedziny z Wszechświata. Utopią lub rozważaną teoretycznie możliwością będzie tedy teza, że być może jakaś grupa marsjańskich olbrzymów schroniła się na Ziemię, by z wówczas żyjącymi tu, mało inteligentnymi, istotami dać początek naszej kulturze homo sapiens. Ponieważ siła ciążenia na Marsie jest mniejsza aniżeli na Ziemi, można przypuszczać, że budowa ciała Marsjanina była potężniejsza i większa od mieszkańca Ziemi. Jeśli w tej teorii jest odrobina prawdopodobieństwa, wtedy mielibyśmy olbrzymów, którzy przybyli z gwiazd i potrafili przesuwać olbrzymie kamienne głazy, nauczyli ludzi nie znanych tu jeszcze sztuk i wreszcie wymarli".**

Gdzie jest prawda? Informacja zawarta w tekście „Księgi rodzaju" dotyczy ludzkości przed potopem. Data tego wydarzenia w rejonie Mezopotamii, bo o to terytorium Ziemi w tym wypadku chodzi, nie jest znana. Badania archeologiczne, między innymi wykopaliska w delcie Eufratu i Tygrysu oraz w jaskini Szanider w północnym Iraku, wskazują jednak, że katastrofa nastąpiła najprawdopodobniej przed początkiem III tysiąclecia przed n.e., może nawet około 12 tysięcy lat temu. Tymczasem Velikovsky w „Zderzających się światach" pisze, że Wenus weszła na swą obecną orbitę w VIII stuleciu przed n.e.

Oczywiście, Marsjanie nigdy nie istnieli. Mamy na to aż nadto wystarczające dowody uzyskane dzięki próbnikom serii „Mariner" i „Mars", a przede wszystkim „Viking". Fantazją jest przypisywanie księżycom Marsa: Deimosowi i Phobosowi sztucznego pochodzenia, jak sugeruje von Däniken. Od wielu lat uzyskuje się zdjęcia obu tych ciał niebieskich z coraz większą zdolnością rozdzielczą. Deimos był fotografowany przy użyciu aparatury sztucznego satelity Marsa „Viking 2" z odległości zaledwie 23 km.

Oba księżyce mają bardzo nieregularny, lecz w przybliżeniu elipsoidalny kształt. Średnia gęstość Phobosa wynosi około 2000 kg/m sześc., a Deimosa jest, jak można sądzić, zbliżona do tej wartości. Tak małą gęstość mają specyficzne meteoryty, tzw. chondryty węglowe, pochodzące z okolic pierścienia planetoid lub z jąder komet. Księżyce marsyjskie mogą więc stanowić schwytane planetoidy, lub, jak dopuszczą znany badacz tych satelitów J. Veverka, jakąś anachroniczną pozostałość po utworzeniu się Marsa. W każdym wypadku są to ciała naturalne, o powierzchni silnie pokraterowanej, a u Deimosa powleczonej dość pokaźną warstwą pyłu. Pomimo bardzo słabego ciążenia, wskutek czego luźny materiał na ich powierzchni powinien łatwo uchodzić w przestrzeń kosmiczną, oba pokryte są ciemnoszarymi powłokami potrzaskanych skał i luźnych kamieni — regolitem, o analogicznym charakterze jak na Księżycu.

A wracając do owych rzekomych olbrzymów z Marsa, należy podkreślić, że na swojej rodzimej planecie żyliby oni poddani działaniu siły ciążenia aż trzykrotnie mniejszej niż na powierzchni Ziemi. Po wylądowaniu na naszym globie znaleźliby się więc w podobnej sytuacji jak ludzie podlegający przeciążeniu aż trzy razy wyższemu od poziomu normalnej grawitacji. Wiadomo, że organizm — zwłaszcza tworu tak wysoko rozwiniętego jak istota inteligentna — toleruje takie warunki tylko przez bardzo krótki czas i jest w stanie takim szczególnym słabeuszem a nie tytanem zdolnym do wielkich wysiłków.

(Dokończenie nastąpi)

(„Astronautyka")

PROPOZYCJE KAW

Krajowa Agencja Wydawnicza powstała niedawno, ale zdążyła już zanotować na swym koncie sporo edytorskich sukcesów. Dzisiaj chcemy zwrócić uwagę Czytelników na nową inicjatywę **Łódzkiego Oddziału KAW**, w którego profilu znajdowały się dotychczas pozycje społeczno-polityczne (książki i plakaty), literatura faktu oraz wydawnictwa turystyczne.

W połowie lipca łódzki edytor wyszedł na rynek z pierwszą propozycją przeznaczoną dla najmłodszego odbiorcy. Projektowana serię książek otworzyło **„Pożegnanie z misiem"** pióra **Honoraty Chróścielewskiej**, w przyciągającej wzrok oprawie plastycznej **Marka Iwańskiego.**

Jest to zbiór wierszy dla dzieci, tradycyjnie rymowanych, ale bardzo zróżnicowanych tematycznie. Obok takich, dla których inspiracja stały się zjawiska ze świata przyrody i zwierząt (widziane z typowa dla autorów bajek skłonnością do antropomorfizacji) znalazły się tu np. zgrabne portrety dziecięcych przywar (stroj nisi, skarżypyty itp.), przedstawione z zacięciem satyryczno-moralizującym. Zróżnicowana jest też poetycka realizacja, bo oprócz powtórek tradycyjnych motywów i rekwizytów spotkać można pomysły oryginalne, a także przykłady udanego odświeżenia tradycyjnego, bajkowego sztafetu (choćby w wierszach „Baiwan i wiosna" czy „Znakomity lekarz").

Ze względu na dużą prostotę, obrazowość i dźwięczność wierszy książeczka ta — acz przeznaczona głównie, jak można się domyślać, dla dzieci umiejących już czytać — nadaje się świetnie do głośnego czytania dzieciom w wieku przedszkolnym. Dodatkowym walorem za tym przemawiającym są czytelne, znarmonizowane z treścią wierszy ilustracje — rysowane kredkami i utrzymane — podobnie zresztą jak większość bajek — w łagodnych, ciepłych tonach.

Chwaląc zatem Łódzki Oddział KAW za dobry początek (dodatkowo za wysoki, 200-tysięczny nakład) pragniemy zarazem zaanonsować drugi tytuł dla dzieci, który jeszcze w tym roku ukaże się w tej samej oficynie. Będzie to **„Cyrk Fantasmagoria" Mariana Miszalskiego**, z ilustracjami również **Marka Iwanskiego.** Dla tej książeczki wydawca zapowiada jeszcze większy, bo półmilionowy nakład!

W planach na rok przyszły znalazły się następne tytuły dla dzieci: **„Moje bajki" Igora Sikiryckiego** oraz opowieść o **„Krawcu i niteczce" Andrzeja W. Mikołajewskiego.** Ukażą się również dwie pierwsze propozycje dla młodzieży: **„Łowiczanka wyrusza w świat" Władysława Orłowskiego** i **„Myśliwska opowieść" Edwarda Kopczyńskiego.** Nakład każdej z wymienionych tu książek nie będzie mniejszy niż 100 tysięcy; wszystkim też edytor zapewni atrakcyjną kolorową szatę graficzną (z wyjątkiem czarno-białych ilustracji do „Myśliwskiej opowieści").

Warto podkreślić, że inicjatywa książek dla dzieci i młodzieży podjęta przez Łódzki Oddział KAW, powstaje w oparciu o łódzkie środowisko pisarskie i plastyczne. (SOL.)

W RYTMIE ALLEMANDE

Allemande to nazwa używana od XVI wieku na oznaczenie pierwszej części suity instrumentalnej. Jest to również nazwa tańca niemieckiego o rytmie żywym i skocznym. Taniec ten był popularny na dworze Ludwika XIV. Francuski prozaik i eseista — Francois Nourissier użył tego określenia w tytule swojej książki. Tytuł ten brzmi: „W rytmie allemande".

Akcja powieści F. Nourissier rozgrywa się w latach 1943—1944 w Paryżu, a jej bohaterami jest grupka młodzieży w wieku nastu lat. Są w wieku, „kiedy człowiek przechodzi obok wszystkiego" Próbują żyć, jakby nie było wojny, normalnie. Uczą się, czytają, bawią się, kochają. Nie ma tu wielkich uczuć, wielkich pasji, są pierwsze życiowe niepowodzenia młodych.

Teza o tym, że w młodości przechodzi się obok wielkich wydarzeń jest dyskusyjna, ale książka posiada poetycką, niepowtarzalną atmosferę i urok. I z tego względu zasługuje na uwagę.

Francois Nourissier — „W rytmie allemande", przełożyła: M. Stachurska-Wyglądałowa, PIW, Warszawa 1979, str. 248, cena zł 50,—

DZIAŁKA I JA

Wilhelmina Skulska — znana i popularna dziennikarka — posiadająca działkę i domek nad Zalewem Zegrzyńskim, postanowiła spisać swoje zmartwienia i radości oraz doświadczenia z tego faktu wynikające. Tak powstała zabawna książeczka pt „Działka i ja".

Posiadacze działek i domków letniskowych znajdą w niej na pewno wątki własnych przeżyć, a więc boje o lokalizację, o zatwierdzenie, o plany, o materiał, o wykonawców i tak dalej. Ci, którzy jeszcze działki nie mają, ale planują wybudowanie sobie domku letniskowego i rozglądają się za działką, znajdą w książce Wilhelminy Skulskiej całą listę kłopotów, które ich czekają, a które będą musieli pokonać, aby spełnić swoje marzenie. Ci którzy działki nie mają, ani o niej, ani o domku nie marzą, poczytają książkę „Działka i ja" z ogromną przyjemnością, nabierając świadomości, że są ludźmi mądrymi, gdyż uniknęli takich oto kłopotów.

„Działka i ja" nie jest tylko książką o kłopotach działkowicza. Jest to również opowieść o tym, jak mieszczuch powoli wrasta w wiejską społeczność. A że Wilhelmina Skulska pisze lekko, nie szczędzi ploteczek i dowcipu, więc książkę czyta się z przyjemnością.

Wilhelmina Skulska — „Działka i ja", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1979, str. 184, cena zł 20,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

Dawny kodeks obyczajowy zabraniał mówienia o pieniądzach w eleganckim towarzystwie. Zasada była dość zrozumiała, jako że owe eleganckie towarzystwa raczej nie cierpiały na brak pieniędzy. Po cóż więc było rozprawiać o czymś co istniało, było niewzruszone, stanowiło podstawę społecznej i towarzyskiej pozycji.

Dziś zmieniły się czasy i zmieniły obyczaje. Rozmowa o pieniądzach nie jest konwersacją wstydliwą — przeciwnie, czasem trzeba głośno mówić o pieniądzach.

Tym razem do rozważań o pieniądzach i kulturze skłoniły mnie dwie publikacje, dwu czasopism społeczno-kulturalnych — **„Polityki"** i **„Życia Literackiego"**.

Oto czytam w **„Polityce"**, że dyskutowany obecnie projekt wynagradzania piłkarzy przewiduje dla futbolistów etaty w wysokości 12 tysięcy złotych miesięcznie, plus 13 tysięcy „z tytułu Karty Piłkarza". Także miesięcznie. Razem — jak łatwo obliczyć — 25 tysięcy złotych miesięcznie.

Zmartwieniem autorów projektu nie jest to, skąd wziąć te pieniądze — one się znajdą. Zmartwieniem jest fakt, że piłkarze nie będą chcieli grać za takie groszowe pensje. Podobno 25 tysięcy złotych miesięcznie — to zbyt mało dla młodego człowieka, względnie sprawnie kopiącego piłkę.

Jeszcze nie ochłonąłem ze wzburzenia po lekturze artykułu **„Piłkarstwo — zawód jak inne"**, gdy wzrok mój padł na egzemplarz **„Życia Literackiego"**. Krakowski tygodnik rozpoczął ostatnio cykl wywiadów pod hasłem **„Uczeni XXI wieku"**. Otóż redakcja zwróciła się do grona najznakomitszych uczonych z prośbą o wskazanie spośród swoich młodych uczniów i współpracowników — kogoś, kogo uważają za szczególnie uzdolnionego, z kim można łączyć nadzieje wybitnych osiągnięć naukowych w przyszłości.

Prof. dr Kazimierz Michałowski — wybitny uczony i wychowawca swojego młodego współpracownika **mgr Andrzeja Reiche.** Młody naukowiec jest jednym z nielicznych w Polsce specjalistów od kultury i cywilizacji sumeryjskiej.

DWIE KULTURY

Jest absolwentem dwu fakultetów — archeologii śródziemnomorskiej i filologii starożytnego Wschodu. Pracuje jako starszy asystent w dziale sztuki starożytnej Muzeum Narodowego w Warszawie.

— Ile pan zarabia? — pyta dziennikarz. „Jak większość moich kolegów — odpowiada młody naukowiec — mam po pięciu latach pracy trzy tysiące sto złotych miesięcznie, bez żadnych premii i dodatków. Pochodzę ze Szprotawy — w Warszawie od lat mieszkam w wynajmowanych pokojach".

Koniec cytatu. Na dobrą sprawę wszelki komentarz jest tu całkowicie zbędny. Zwłaszcza, że mówienie w tej sytuacji o pieniądzach staje się naprawdę sprawą wstydliwą.

Sportem interesuję się — o tyle, o ile — umknął więc mojej uwadze fakt, że ustanowiono jakąś Kartę Piłkarza. Wiem o Karcie Górnika, Stoczniowca, Nauczyciela... Przeoczyłem natomiast informację o podniesieniu futbolisty do rangi tych — wymienionych wyżej — zawodów. Zawodów znaczących, trudnych, cieszących się społecznym uznaniem i godnych uhonorowania specjalnymi względami.

No bo jak to jest? Istnieje Karta Piłkarza, gwarantująca młodemu sportowcowi stałą premię w wysokości 13 tysięcy złotych miesięcznie — a nie istnieje Karta Naukowca?

Młody piłkarz — zmieniający w ciągu paru lat parę klubów — za każdym razem otrzymuje mieszkanie, nierzadko umeblowane. Młody naukowiec — który zdążył ukończyć dwa wydziały i jest liczącym się specjalistą — tuła się po sublokatorskich pokojach.

Podobnie jak młody robotnik, młody inżynier, młoda pielęgniarka... Oni muszą czekać w kolejce po swoje M-2. Młody piłkarz nie musi.

Ktoś może mi zarzucić, że tendencyjnie zestawiłem dwie informacje prasowe, że nie doceniam roli kultury fizycznej. Otóż doceniam tę rolę. Więcej — uważam, że tężyzna fizyczna narodu jest równie ważna co kultura umysłowa. Ale przecież nie ważniejsza!

A poza tym mam wątpliwości czy mówiąc o sytuacji w naszym futbolu w ogóle należy mieszać do tej sprawy kulturę. Choćby tylko fizyczną.

WIDOK

PROPOZYCJE

POWTÓRKA BEZ ROZRYWKI

W programie III Polskiego Radia w dni powszednie dokładnie o godzinie 13.00 nadawana jest 45-minutowa audycja pt. „Powtórka z rozrywki". Audycja ta zaczyna się piosenką śpiewaną przez Mariana Kociniaka pod takimże tytułem: „Powtórka z rozrywki". Audycji tej słucha się z wielką przyjemnością, choć są to powtórzenia i tylko powtórzenia: z programu III, z różnych lat, z różnych cykli rozrywkowych, różnych autorów. Audycja ta egzystuje na tej zasadzie, że słuchacze programów rozrywkowych „trójki" nie zawsze mogą słuchać ich regularnie, że nie zawsze mają czas, a więc trzeba dać im szansę usłyszenia takich audycji. Poza tym niektórzy mają ulubionych autorów, ulubionych wykonawców, ulubione audycje i chętnie słuchają je powtórnie. Zasada ta — jak wynika z praktyki — zdaje egzamin.

Powtarzanie niektórych audycji, czy to w radio, czy w telewizji zasadza się właśnie na tym, że albo trzeba dać ludziom możliwość zobaczenia czy usłyszenia tego, czego z przyczyn obiektywnych obejrzeć lub usłyszeć nie mogli, albo dać im możliwość obejrzenia lub usłyszenia tego powtórnie, gdyż im się to podobało. Spiker zawsze może powiedzieć, że radio czy telewizja powtarza coś na życzenie radiosłuchaczy lub telewidzów. Do radia nie mamy na ogół pretensji o powtórki, gdyż w czterech programach zawsze można sobie znaleźć coś ciekawego, a poza tym radio ma program bogaty i urozmaicony. Co innego telewizja.

Oglądając za granicą programy telewizyjne innych krajów wraca się do domu w poczuciu dumy, że jednak mamy lepszą telewizję. Istotnie bywało tak, ale to się już zmieniło. Na gorsze oczywiście.

Bardzo lubię westerny. Przepadam za westernami. Nie ja jeden zresztą. Mój kolega Włodek, kiedy w telewizji leci western, nie otwiera nikomu drzwi, nie odbiera telefonów, nie pozwala odzywać się żonie. A trudno go nazwać niedowarzonym chłopaczkiem. Więc lubimy westerny. Ale w telewizji był taki okres, że westernów było w nadmiarze i mimo mojej miłości do westernów miałem ich już dość. A to bardzo zły znak. Musiałem przestać je oglądać, aby ich sobie nie obrzydzić. Westerny skończyły się w telewizji i licho wie, kiedy powrócą. Gorzej, że w ogóle nie ma dobrych filmów. Nie ma nowych filmów.

Pisano już w „Życiu Warszawy", pisano w „Sztandarze Młodych", że nic nie zapowiadą filmowych premier w telewizji. Same powtórki. O powtórkach wyraziłem już swój sąd. Uważam je za niezbędne nawet w telewizji. Ale telewizja jakby zapomniała o tym, że w Polsce ludzie pracują na dwie a nawet na trzy zmiany. I zaprzestała zupełnie nadawania powtórek filmów seryjnych. A czasem warto. Ale telewizja zupełnie nie liczy się z widzami. Wart obejrzenia serial angielski „Ja, Klaudiusz" nadawany jest według widzimisię kogoś z telewizji. Najpierw we wtorek, teraz w soboty i to nieregularnie. W soboty bywają różne imprezy, na których czasem trzeba być. Choćby na imieninach u cioci. Na imieninach na ogół nie ogląda się telewizji, a jeśli nawet, to jest to żadne oglądanie. Telewizja jednak kolejnych odcinków „Ja, Klaudiusz" nie powtarza. Powtarza natomiast do znudzenia przygody Janosika i czterech pancernych i jednego psa.

W dorobku telewizji, jak i kina są takie pozycje, do których chętnie się wraca, ogląda się je z przyjemnością co jakiś czas. Ale, aby nie za często. „Studio Bis", które egzystuje na powtórkach, jakoś nie uznaje takiej zasady. W końcu telewizja wie, co się ludziom podoba i podobało. Widać z wiedzy tej nie chce korzystać, bo w powtórkach też panuje kompletna dezorientacja. Powtarza się na ogół te pozycje, które mało kogo interesują. Dlaczego? Można powiedzieć, że to sprawa gustu, a o gustach wiadomo, nie należy dyskutować.

I na koniec sprawa rozrywki. Jakoś radio radzi sobie z rozrywką doskonale. Ma jej różne formy, różnie adresowane. Dla kogo „Wesoły autobus", dla kogo „60 minut na godzinę", dla kogo jeszcze „Podwieczorek przy mikrofonie" i tak dalej. Dla każdego coś miłego i wedle gustu. Telewizja uparła się, aby programem rozrywkowym nazywać koncerty piosenkarzy czy piosenkarek. Wydumane, abstrakcyjne dekoracje, jakieś lejące się płachty plastyku, schody oczywiście i drgające panienki płaczliwie zawodzące I to ma być rozrywka. W telewizji, której programy kiedyś dawały prawdziwą rozrywkę, bawiły, radowały, przynosiły relaks. Koniec z tym. Nawet „GAMA", która pod kierownictwem Andrzeja Zaorskiego, zapowiadała się zupełnie interesująco, zeszła na manowce, szczególnie kiedy Krystyna Loska zaczęła demonstracyjnie szczerzyć zęby. Nie mam nic przeciwko Krystynie Losce, uważam nawet, że jej występy w „GAMIE" wymyślił ktoś, kto nie bardzo ją lubi i chce jej zaszkodzić. Z humorem, dowcipem i rozrywką nie ma to nic wspólnego.

Nasza telewizja znalazła się w impasie. I trzeba coś na to poradzić.

MARCIN RODAK

ZAMIAST FELIETONU

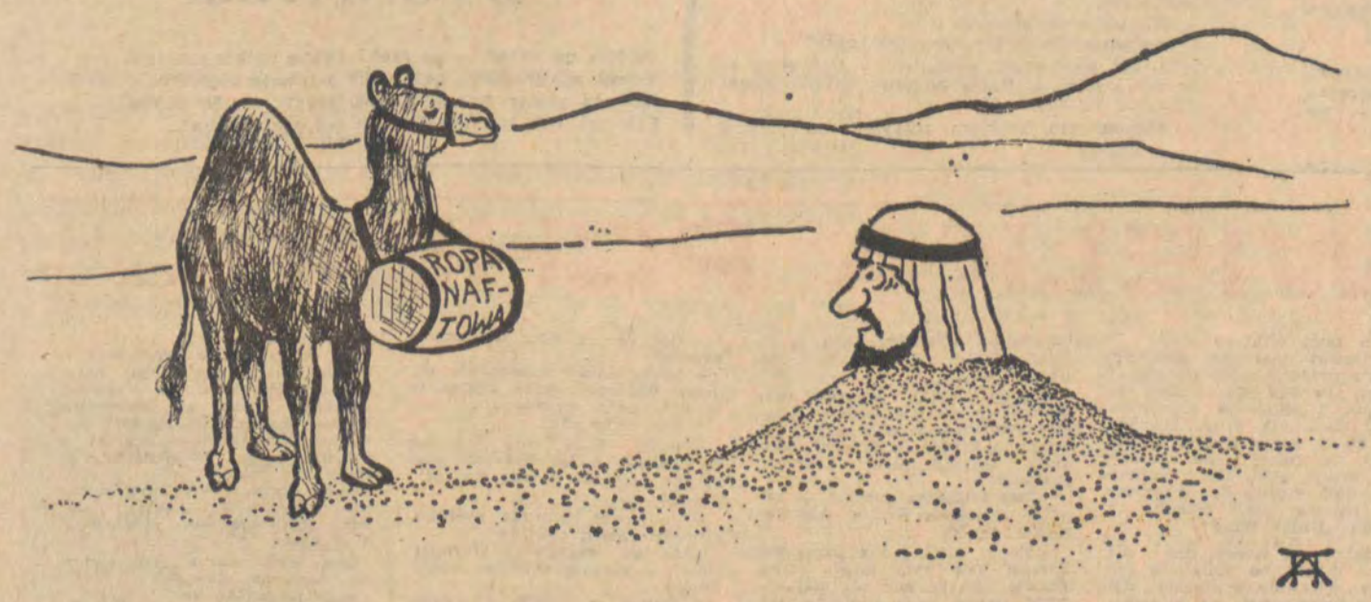

Rys. Andrzej Tylczyński

Z GALERKI

TERESA ŻYLIS-GARA

W Łodzi mnie nie chcieli,
Nie chcieli w Warszawie,
Trzeba było myśleć
O światowej sławie.

Rys: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

KRAKOWIACY I ŁODZIANIE

Była to bardzo miła i bogata impreza. Deszcz wprawdzie od czasu do czasu próbował padać, ale publiczność chroniła się pod parasole, peleryny lub po prostu mokła, oczekując piłkarskich emocji. I takie emocje były. Tadeusz Błachno aż trzy razy wpisał się na świetlną tablicę, jako strzelec bramek dla łódzkiej drużyny. Arnold Borowik, który był spikerem meczu, skomentował jego wynik dość wymownie, powiadając, że jeszcze nigdy w historii tablicy świetlnej ŁKS nie było wpisanych tylu bramek, co na meczu reprezentacji Łódź — Kraków. Niektórzy obawiali się, że maluczko a zabraknie miejsca na tej tablicy. Ale jakoś sobie poradzono.

Była to sympatyczna impreza, a zawdzięczamy ją dziennikarzom sportowym „Głosu Robotniczego". I tu warto może zdradzić tajemnicę, że duszą tej imprezy był red. Władysław Lachowicz, który sobie umyślił, że sportowcy łódzcy też mogą przyczynić się do rewaloryzacji zabytków Krakowa i niech inni w Polsce nie myślą, że w Łodzi nie ma takich ludzi, którzy coś sensownego wymyślić potrafią. No i stało się. Napracowali się przy tym wszyscy. Red. Mieczysław Wójcicki nawet własną piersią chronił nagrody, aby przypadkiem piłka z boiska nie wpadła na stolik, na którym nagrody te wystawiono. Piłka nie wpadła. Wpadała za to do bramki. Aż sześć razy dla łodzian i dwa razy dla krakowiaków.

Ulubieńcem publiczności — a jak? — był oczywiście Zbigniew Boniek, którego też uznano najlepszym piłkarzem na boisku, chociaż strzelił tylko jedną bramkę, ale za to wypracował kilka pozycji strzeleckich, z których skorzystali koledzy, między innymi Tadeusz Błachno. Na widowni siedziała grupa zagorzałych kibiców Stanisława Terleckiego, która najpierw skandowała: „Staś na boisko", a kiedy Stanisław Terlecki wyszedł na boisko, to każdą udaną jego akcję kwitowała okrzykami: „Brawo Stasiu", ale Stasiowi najlepiej nie szło.

Było też i trochę śmiechu, kiedy Mirosław Bulzacki założył się z bramkarzem krakowskiej drużyny, że strzeli mu jedenastkę i strzelił w poprzeczkę, albo kiedy Andrzej Grębosz zamiast w piłkę trafił raczej w ziemię. Po meczu strzelano sobie jedenastki i nawet bramkarze sobie nawzajem strzelili. Pomyślnie. W jedenastkach górą był Kraków i bardzo dobrze.

Później sprawozdawcy pisali, że w tym meczu zwyciężyła idea rewaloryzacji zabytków Krakowa. Prawda to, ale myślę, że mecz ten powinien nasunąć kilka refleksji. Po pierwsze — mimo złej pogody ludzi przyszło sporo. Oczekiwali dobrego meczu. W końcu spotykały się drużyny dwóch silnych ośrodków piłkarskich. Ale krakowianie ustępowali łodzianom zdecydowanie. Piłkarze „Wisły" markowali tylko grę. Niestety. Pograć sobie chcieli natomiast piłkarze „Cracovii" i „Garbarni", którzy występowali w drużynie Krakowa.

Po drugie — warto może częściej powracać do spotkań reprezentacji miast. Kiedyś były to bardzo popularne imprezy piłkarskie. Reprezentacje miast występowały w pucharach, choćby w bardzo popularnym pod koniec lat czterdziestych Pucharze im. Józefa Kałuży, który zastąpiono później Jubileuszowym Turniejem Miast. W 1950 roku reprezentacja Łodzi weszła do finału tego turnieju i nieoczekiwanie przegrała z reprezentacją Wałbrzycha 3:4. Ale to historia. Teraz też mamy turniej z okazji jubileuszu bytomskich Szombierek, ale to zupełnie co innego.

Nastawiliśmy się na ligę i nawet zimowe lato nam się dłuży bez ligowych rozgrywek. Liga zdominowała wszystko. Liga czasami przesłania interes reprezentacji. Może by więc spróbować częściej organizować takie imprezy piłkarskie, kiedy w grę wchodzi nie interes klubu, ale ośrodka, miasta, regionu, kiedy musi dojść do integracji, kiedy partykularne interesy odkłada się na bok.

Jak daleko od takiej idei odeszliśmy niech świadczy fakt, że piłkarze Krakowa przyjechali do Łodzi bez swoich koszulek, na których byłby herb Krakowa i musieli występować w klubowych koszulkach ŁKS. Łodzianie na szczęście mieli koszulki z herbem miasta.

Red. Władysław Lachowicz biegając koło piłkarskiej imprezy poświęconej Krakowowi mimo woli odkrył coś zupełnie innego, dezintegrację środowisk piłkarskich, ich atomizację wynikającą z klubowych partykularyzmów. Nie jest to zjawisko pozytywne. Więc może spróbować jakoś przeciwdziałać?

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1688. A-2.

Załącznik nr. 351-179 .....

HASŁO NUMERU: Pamiętaj, została ci tylko pogoda ducha!

PARADY NAIWNYCH

Na co już ludzi nie nabierano. Kiedyś w Warszawie modne było sprzedawanie Kolumny Zygmunta i mostu Kierbedzia. Ale to dawne czasy. Specjaliści twierdzą, że co dziesiąty banknot dolarowy jest fałszywy. Wielu łatwowiernych pokusiło się już na tanie kupno walut i... straciło. Wielkim powodzeniem cieszyli się oszuści matrymonialni. Okazuje się, że można też naiwnych nabierać na... pracę za granicą.

Na taki pomysł wpadł Tadeusz Ł., który sam pracował za granicą i został stamtąd wyrzucony za różne wykroczenia. Powrócił do kraju i żył z kombinacji, opowiadając naiwnym, jakie to kokosy zrobił w czasie swojej zagranicznej pracy. I naiwni wierzyli. Mało tego, płacili wcale pokaźne sumy, aby tylko Tadeusz Ł. pomógł im wyjechać do pracy na zagraniczną budowę. I on „pomagał". Brał pieniądze i znikał.

Aż wreszcie wpadł. Teraz warszawska milicja prosi, aby naiwni zgłaszali i opowiadali, jak to ich „zrobiono w konia". Czy tylko zechcą? Bo to w końcu wstyd przyznać się, że się dało tak łatwo oszwabić. A nie wstyd płacić za to, żeby wyjechać w celu robienia mitycznych kokosów? Jakby w kraju nie było co robić? Z tymi kokosami to też nie taka znów prawda. Zarobek może i spory, ale cena, jaką się za to płaci wcale nie jest taka niska. Jest to cena wielu wyrzeczeń, nostalgii, rozłąki z rodziną. Naiwnych niestety nie sieją. Sami rosną.

ZYG-ZYG

STARY DOWCIP

— Dlaczego pan taki smutny?
— A bo kupiłem kolumnę Zygmunta i okazało się, że wcale jej nie ma.

DONOSY Z RÓŻNYCH STRON KRAJU

Z WARSZAWY

Z Warszawy donoszą, że na skwerze przy ulicy Saskiej pojawiła się dziwna kamienna figura, obrazująca głowę ludzką, z której wyłaniają się książki. Na kamieniach, na których głowę oparto, wyryty jest napis: Żeromski. Cztery lata temu ów pomniczek pojawił się w parku im. Stefana Żeromskiego na Żoliborzu i został stamtąd usunięty decyzją Naczelnego Plastyka Warszawy. Tym razem usunąć pomniczka nie bardzo można.

MORENA CZOŁOWA

Rys. Andrzej Tylczyński

gdyż Komitet Osiedlowy na Saskiej Kępie, który samodzielnie postanowił upiększyć Stolicę, postanowił bronić swojego pomnika. A autor? Gdzie jest autor tego arcydzieła?

Z GDYNI

Z Gdyni nam znów donoszą, że **15 lipca 1979 roku** w godzinach rannych pociągi z Wrocławia, Katowic i Gliwic spóźniły się po przeszło 90 minut każdy. Również pociąg do Łeby odszedł z Gdyni z przeszło 20 minutowym opóźnieniem. Natomiast pociąg z Łodzi przyszedł punktualnie, co wywołało powszechne zdziwienia.

Z BIELSKA-BIAŁEJ

Ze stolicy województwa bielsko-bialskiego donoszą nam uprzejmie, że tamtejszy Ośrodek Sportu i Rekreacji (Bielsko-Biała, ul. Armii Czerwonej 67) ogłosił już zapisy na 12-dniowe KURSY NAUKI JAZDY NA NARTACH. Nauka na nartach odbywać się będzie w Szczyrku i dopiero od stycznia do marca 1980 roku. Dobrze jednak już teraz w letnie, chłodne wieczory pomyśleć o tym, co będziemy robili w zimie. Organizatorzy ostrzegają, że **„ze względu na ograniczoną ilość miejsc o przyjęciu na poszczególne turnusy decyduje kolejność wpływu zgłoszeń".** Dla tych, co mają własny sprzęt taka przyjemność kosztuje 3 800 zł od osoby. Dla tych, którzy sprzętu nie mają — 4 500 zł. Radzimy nie spóźnić się, gdyż **Ośrodek Sportu i Rekreacji w Bielsku-Białej zgłoszenia przyjmuje tylko do 15 sierpnia 1979 roku.**

Z MIELNA

W Mielnie pada i jest zimno. Ale taka wiadomościa dziś nikt nas już nie zaskoczy!

D. O. NOSICIEL

ANTYREKLAMA

Publicyści kulturalni a nawet odpowiedzialni pracownicy kinematografii konstatują z niepokojem, że wybitnie zmalała u nas ilość kin plasując nas na niechwalebnym miejscu w Europie. Co gorsza kina, które nam jeszcze pozostały, nie są w pełni wykorzystywane i na każdym seansie znaczny odsetek foteli świeci pustkami. W ten sposób do niedawna popłatny zawód konika kinowego uległ samolikwidacji.

Twórcy filmowi w Polsce tłumacza ten katastrofalny stan brakiem reklamy w ogóle albo też reklamą nieudolną. Nie zawsze jesteśmy skłonni dawać im wiarę uważając, że to filmy powinny być lepsze a wtedy i kasa sama się zrobi. Ale czasy fascynacji taśmą celuloidową po to tylko, aby zobaczyć „jak żywy" wjazd pociągu na stację skończyły się już dawno. Potrzebna jest jeśli już nie reklama, to przynajmniej rzetelna informacja. Brak jednej i drugiej, a to, co ostatnio proponuje nam Zjednoczenie Rozpowszechniania Filmów jest zwykłą antyreklamą, choć kosztuje ciężkie tysiące złotych. Dowód w załączeniu. „Reklama" ta została umieszczona w „Życiu Warszawy".

Miejmy nadzieję, że przynajmniej nieudolny urzędnik ZRF, który zamówił tę potworkowatą plakietkę, przeżyje „emocje i napięcia" jakich życzy kinomanom, płacąc z własnej kieszeni za fuszerkę. Na miejscu dyrektora ZRF sumę wydatkowaną za tę antyreklamę przypisałbym brakorobowi do zwrotu.

J. DARNAL

ŻYCIE NAMIOTOWE

Rys. Jan Zieliński

MIROSŁAW KUŹNIAK

DRZWI

Spotykałem go każdego ranka. Stał pod ścianą i milczał. W końcu nie wytrzymałem.

— Bardzo pana przepraszam. Ciągle widzę pana na korytarzu. Rano idę do pracy, pan stoi. Wracam, też pan stoi. Mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego pan tu stoi?

Uśmiechnął się niewyraźnie i powiedział:

— W zastępstwie, proszę pana.

— W czyim zastępstwie?

— Cóż to pan ślepy? — odparł gniewnie. — Nie widzi pan. W zastępstwie drzwi!

— Rzeczywiście. Tu nie ma drzwi. A powinny być.

— Powinny, ale nie wybudowali. Zapomnieli. Normalka.

— A jak państwo wchodzą do mieszkania?

— Przez okno, to przecież parter. Ale, panie kochany, co to za mieszkanie bez drzwi? No powiedz pan?

— Bez drzwi.. trochę... bo ja wiem... głupio.

— Dlatego stoję!

— To musi być uciążliwe?

— Jeszcze jak! Ludzie myślą, że jak drzwi, to wszystko można. Na przykład, mleczarz...

— Butelki stawia mi na odciskach! — powiedział z rozgoryczeniem.

— To nieprzyjemne. A pan jako drzwi, jak działa?

— Normalnie, przez naciśnięcie.

— Otwiera się pan?

— Otwieram. Bez skrzypienia! — odrzekł z dumą.

— Fantastyczne!

Żeby tylko ludzie byli trochę kulturalniejsi, dałoby się wytrzymać. No, ale niejeden zamiast grzecznie zapukać, od razu pcha. Albo kopie.

— A pan co na to?

— Oddaję!

— To właściwie pełni pan funkcję wychowawczą.

— E, tam! — machnął lekceważąco ręką. — Tylko funkcję drzwi. Ale ma się te sukcesy, ho, ho. Na przykład, złodziej...

— Rozumiem, nie wpuszcza pan złodzieja?!

— Skądże! Wpuszczam. Zatrzaskuję się i nie wypuszczam.

— To kapitalne. Tylko... tylko troszeczkę uciążliwe. Stać tak i stać. Nie mógłby pana ktoś zmienić. Na przykład żona.

— Odpada! — powiedział z bolesnym grymasem. — Za szybko się otwiera. No i przed byle kim.

— To rzeczywiście kłopot. A może któryś z sąsiadów?

Wyraźnie się ucieszył.

— Naprawdę byłby pan tak miły?

— Ja? Pan myśli o mnie? — Cofnąłem się o pół kroku. — Panie kochany, ja nie mogę... ja... się zacinam...

Stanowczym krokiem ruszyłem do wyjścia

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

ŁATKI ADRESATKI

ZAMIAST RECENZJI Z POEMATU „WIATR OD WISŁY" MARIANA PIECHALA

Spytałem Broniewskiego, co o poemacie myśli,
A on po głębokim namyśle:
„Miejscami się wiśli".

„DNO NIEBA" ABRAMOWA W TEATRZE JARACZA

Ho, ho —
Widziałem dno!

UKWIAŁY

Po co jest mech? Żeby nie było słychać jak spadają szyszki!

• • •

Ażeby ustało się wino, niezbędny jest ferment.

• • •

Dziwny człowiek. Zachowuje się normalnie.

• • •

Tak długo nie zdejmował maski aż mu się na niej porobiły zmarszczki.

• • •

Zauważyliście? Niektóre melodie przeszłości stają się znów szlagierami.

• • •

Ma się czym pochwalić. Myślenie nie jest jego mocną stroną.

HORACY SAFRIN

DYGNITARZ

„Spójrz na raka! — do żabki żabka rzekła szeptem. — Nawet na grzeczny ukłon nie odpowie kiep ten! Czy ma prawo tak nosa zadzierać?" — „No chyba! Przecież rak na bezrybiu to też gruba ryba".

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI — WIELKA PCHŁA — MINI POWIEŚĆ O!?

ODCINEK 13

Poprzedniego dnia Kapiszon chwalił się przed narzeczoną: — Dzisiaj z nim rozmawiałem. Jak tu siedzę, Ptysiu. Chuch? Chuch miałem dobry, mowa. Masz słuch, czy nie?

— Monopol z czosnkiem. Sama nie wiem, co mi się w tobie podoba. Ale słucham. Gadałeś z jej bratem?

— Fakt. On się nazywa Wiktor. Deszcz padał i my się, streszczali, nie? Będę mókł?

— O pogodzie to z żoną. Weź tę łapę, bo mi się kremplina zemnie. Nie tę, tą drugą. No i co ten twój Wiktor?

Wiktorowi pierwsze strumyki deszczu przebiły nieprzemakalny płaszcz. Parasol nie chciał się zamknąć i został w tramwaju. Wiata stała już drugi tydzień, więc szyby miała wybite oprócz jednej, na której dzieci powtarzały lekcje anatomii. Najlepszy z nich musiał być klientem pana Kitusia: nosił teksasy z nalepką „Killer Band".

Kapiszon od trzech dni nie był w domu, bo żony się pokłócili. Pierwsza z trzecią. Bywał u narzeczonej, ale mieszkała wysoko, a winda strasznie hałasowała i lokatorzy psuli ją co dzień, chcąc przynajmniej raz się wyspać.

— Żeby tylko smarki tym szkłem się nie pokaleczyli! — zagaił rozmowę z Wiktorem. — Bo ja to bardzo za dziećmi. Sam mam takiego panie, jaki to szprync!

— Też świństwa rysuje? — zapytał uprzejmie Wiktor. Ale Kapiszon swoje:

— Znam tutaj jedną panienkę. Cymes! Jak bym miał taką siostrę... No co pan nic nie mówisz? Deszcz pada i zimno, jak kurza twarz.

— Coś pan z tym zimnem i siostrą?

— Będę mókł? Streszczam się, panie Wiktor: z taką siostrą to ja bym pana wyswatał.

— Pan mnie zna?

— Broń Boże. Tak mi się wymsknęło. A jak byś pan miał na ten przykład siostrę, to co?

— To co?

— To nawet bym nie wiedział, którędy chodzi i kiedy...

...tak go zagiąłem, słuchasz, Ptyś? — opowiadał teraz narzeczonej.

— Złapał? — pytała, wygładzając kremplinę na biuście.

— I to jak!

— ...A pan gdzie pracujesz? — zapytał mianowicie Wiktor. Łączność została nawiązana. Kapiszon naciskał: żeby się nazywała, weźmy, Mariolka. Żeby brat był, weźmy, magazynierem, albo na innym takim stanowisku. Nie znasz pan takiej?

— Nie znam, ale to ona. — puścił farbę. — Ta zakała. Człowiek jest, wie pan, pozytywny, a siostra...

— To raz, dwa: którędy chodzi — i kończem biznes!

— O ile wiem, to

dalszy ciąg nastąpi